



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Swiat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1
sgr. 20.

JA SIĘ NIE SKARŻĘ.

Ja się nie skarżę, Boże!—ja nie płaczę,
Choć wiatr roznosi, z jękami głuchemi,
Chmury łez pełne, westchnienia tułaczę
Po całej smutnej tej ziemi.

Ja się nie skarżę, choć jasność dnia blade,
Zaledwo słońca promieniem draśnięta,
W cieni i zmierzch nocy wieczystej zapada,
Nieznana, często—przeklęta.

Ja się nie skarżę, choć kwiat nierozwity,
W paku zdeptany, bezpłodnie umiera....

Ja się nie skarżę, choć prawdy błękity
Burza—piorunem otwiera;

Choć po dolinach mgły ciemne się wloką,
Chociaż szczyt każdy—bezduśzną opoką,
Choć po przepaściach zwątpienia jest droga
Myślicielowi—do Boga....

Choć wiekuistej harmonii Twej tony
Milkną wśród dzikich rozdźwięku wybuchów,
Chociaż stworzywszy ciał całe miliony,
Tak mało dałeś nam duchów!

Ja się nie skarżę, choć Twoje narody
Idą, niewiedząc: zkąd, kędy i po co?
I bijąc w siebie, jak morskich fal wody,
Pracę stuleci druzgocą;

Choć hasła wieku, jak błędne ogniki,
W strasznej nicości prowadzą nas bagno....
Choć próżno biją w niebiosy okrzyki
Tych, co konają—i pragną.

Ja się nie skarżę, choć twoje ołtarze
Nie płoną wiecznej jasności pochodnią....
Choć synom twoim na imię: „nędzarze“

A nędza, tak często—zbrodnią.

Ja się nie skarżę, choć serce człowieka
Z porywów marnych wykułeś—nie z siły....
Choć smutnym droga tak bardzo daleka

Do ukojenia mogiły.

Chociaż ideał, na cząstki rozbity,
Wspólnego duchom nie tworzy ogniska....

Choć przez najczystszych uniesień zachwity
Płomień żądz ziemskich przebłyska.

Ja się nie skarżę, choć słońce nie świeci
W chacie nędzarza, w skazańca ciemnicy....

Choć pokolenia posępnych stuleci

Marnieją w gnuśnej tęsknicy;

Choć tyle smutków i łez na tej ziemi,

Tyle niedoli, ahl i tyle winy....

Choć ponad ludów tłumami blademi

Biją okropne godziny....

Ja się nie skarżę!—Cóż świata pomoże,

Choćbym go wstrząsła mych skarg huraganem?

Smutno mi tylko, żeś ty, wielki Boże,

Całej tej nędzy jest—panem!

Marya Konopnicka.

POGA WĘDKA.

Na pochwałę Warszawy, wspomnieć winniśmy
o dwóch sprawozdaniach, które streszczają dzia-
łalność i bilans dwóch instytucyj powstałych z oby-

watelskiej ofiarności ludzi miłujących swój kraj
i swoje społeczeństwo.

Oto przed kilku dniami odbyło się doroczne po-
siedzenie komitetu Towarzystwa Osad rolnych, na
którem zdano sprawę z czynności roku zeszłego.
Z wielką pociechą dowiedzieliśmy się przy tej
sposobności, że stan Osady Studzienickiej i inte-
ressa Towarzystwa są nader zadawalające.

Oto kilka dat, wyświecających lepiej całą spra-
wę: Od r. 1876, t. j. od czasu otwarcia Osady
dla małoletnich przestępców, znalazło w niej po-
mieszczenie 181 skazanych, z których 63 powró-
ciło na wolność i zajęło posady w gospodarstwach
wiejskich i w warsztatach rzemieślniczych. Kilku
już nawet wyzwolono na czeladników; dwóch
zdolniejszych znajduje się w seminarium pedago-
gicznem, zkąd jako wykwalifikowani nauczyciele
elementarni przyjdą zapewne zostaną do pomocy
dozorcom w Osadzie Studzienickiej. Powrót ich
będzie rodzajem tryumfu, i dla nich samych, i dla
idei, przyświecającej samej instytucji, która
z upadłych członków społeczeństwa dochowała się
tak pożytecznych jednostek.

Koszta utrzymania podniosły się znacznie w ro-
ku zeszłym z powodu drożyzny i zwiększonej licz-
by wychowanców; było ich w przecięciu po 116
dziennie w ciągu całego roku, a koszta utrzymania
na głowę wynosiły 175 rs. rocznie. Dochody
wszelako obficie zasilily kasę Towarzystwa, bo
urośli do summy 36,140 rs. 11½ kop., pokryły
zupełnie rozchód i jeszcze przeszło 7,000 rs. po-
zostawiły remanentu na rok bieżący.

Bilans tegoroczny wykazuje przewidywany nie-
dobór do wysokości mniej więcej 5000 rs., który
trzeba będzie pokryć z oszczędzonej przewyżki
zeszłorocznej, jeżeli ofiarność publiczna nie okaże
się równie hojną, jak dotychczas; ale przypuszczać
należy, iż moralne rezultaty instytucji zdobywać
sobie będą nadal coraz większe uznanie, a zatem
i poparcie, dopóki byt Osady ostatecznie stale za-
bezpieczonym nie zostanie. Kiedyś przecież bo-

wiem zagmatwana sprawa testamentu i legatów ś. p. Kickiego rozstrzygnięta być musi. Żałujemy, że w tym przedmiocie sprawozdanie głównego Komitetu nie dało nam żadnych bliższych wyjaśnień.

Drugą publiczną spowiedź całorocznego żywota złożył Zarząd 4-ro klasowej, wyznaniowej „Szkoły realnej prywatnej“ przy ulicy Elektoralfiej pod Nr. 6. Szkoła ta, jak sobie czytelnicy przypominają, powstała w r. 1878 i przeznaczoną była dla młodzieży żydowskiej z klasy zachowawczej, dla tych, których rodzice przez uprzedzenie nie posyłali do innych średnich zakładów naukowych. Utworzenie takiej szkoły miało przeto dwojakie znaczenie: jedno pedagogiczne, drugie społeczne. Jeżeli się uwzględni, że pierwszy zastęp uczniów składał się z dawnych wychowanców chederów, ochronek i szkół elementarnych żydowskich; że kandydaci po większej części mówili tylko żargonem i nie władali wcale językiem polskim; że mowę czytają rozumieli bardzo słabo, a pod względem wymowy byli zupełnie upośledzeni: to łatwo zrozumieć, jakie zadanie ważne, jak pożyteczne rezultaty, miała przed sobą szkoła tego rodzaju.

Niestety, trudną jest walka z ciemnotą i uprzedzeniem; potrzeba długich wytrwałości starań, dużo pobłażliwości, dużo miłości dla celu wytkniętego, aby się niepowodzeniem nie zniechęcić. Ręczona szkoła doznała dwojakiego niepowodzenia: moralnego pod pewnym względem i materialnego; materialnem jest deficyt, pomimo wielu ofiar publicznych i przewidywanych dochodów stałych, moralnem—dezercya bardzo znacznego procentu uczniów.

Ten smutny objaw opuszczania zakładu przed ukończeniem kursu, — czytamy w Sprawozdaniu pochodzi po większej części ztąd, że poczucie potrzeby nauki świeckiej bardzo mało jest rozwiniętem w zacofanych klassach ludności żydowskiej. a z tego względu dotychczasowa opłata szkolna (w ilości rs. 40 w kl. wstępnej i 1-ej, rs. 50 zaś w kl. 2-ej, nawet rozłożona na 3, 4, lub więcej rat), nie wyższa od opłaty często pobieranej w większych chederach, wydaje się wielu rodzicom za wysoką, a nauka szkolna, mogąca dać korzyści później dopiero, za kosztowną. Ztąd też wielu uczniów klasy 3-ej, 2-ej a nawet 1-ej, z bardziej też zamożnej klasy, wyuczywszy się jakotako czytania, pisanie, rachunków, porzuca szkołę i przechodzi do praktycznego zajęcia w sklepach, kantorach i t. p.

Ze 194 uczniów, którzy wstąpili do szkoły po jej otwarciu w pierwszym roku, pozostało do dnia dzisiejszego zaledwie sześćdziesięciu.

Fakta te nie potrzebują komentarzy, ale świadczą, jak energicznie jeszcze pracować należy nad złamaniem uporu i przeszczerpieniem zakorzenionych instynktów i pojęć w zacofanej klasie naszych żydów. Pomimo wszystkiego trzeba iść dalej przebojem z pochodnią oświaty w rękę pomiędzy te ciemne masy; trzeba przyciągać tymczasowo jednostki, zanim będzie można zjednać całe tłumy — i pozyskać dla społeczeństwa.

Światłe głowy i szlachetne serca wśród cywilizowanej klasy żydów naszych powinny pracować nad ułatwieniem tego zadania, nad powolnem wprawdzie, ale ciąglem jego rozwojem; z naszej zaś strony należy się im, w imię dobrze pojętej solidarności, dobrze i poobywatelsku podawana pomoc i zachęta.

Zarząd Szkoły Realnej postanowił jeszcze bardziej uprzystępnąć, tak uboższym jak i zamożniejszym swym uczniom warunki pobierania nauki, udzielając jej jeszcze za tańsze pieniądze, niż dotychczas; jest też „głęboko przekonany, iż ludzie światli nie odmówią poparcia sprawie mającej na celu wychowanie młodzieży z warstw głęboko zacofanych, w duchu prawdziwie obywatelskim“... Należy się też uznanie za czyn dobrej woli obywatelskiej, tak założycielom, jak i opiekunom szkoły, jak całe drużynie nauczycielskiej, która pracowicie łamać się potrzebuje z zacofaniem i przesądami—uznanie takich starań, zabiegów i dążeń, które najłatwiej kwestyą żydowską mogłyby stracić raz na zawsze z porządku dziennego kwestyj społecznych u nas.

Licht, mehr Licht!... oto hasło, pod którym

mnóstwo spraw naszych znaleźć może swe rozwiązanie.

Dobroczytność warszawska zmusza nas do zanotowania jeszcze jednego faktu, którego wyciekaliśmy oddawna, o którym wspominaliśmy niejednokrotnie, spodziewając się co rok prawie, z tej lub owej strony, głucho przyrzekanej ofiary. Obeszło się jakoś bez głośniejszych firm, na które wszystkich oczy zwracały się oddawna; dzięki ci chym, skromnym, bez rozgłosu staraniom zacnego kapłana i kilku osób wpływowych, powstała w Warszawie tak potrzebna i tak ważna pod względem moralno-społecznym instytucja pod nazwą „Domu podrzutków“, przy zbiegu ulicy Brackiej z alejami Jerozolimskimi.

Ostatnie lata wyróżniły się zpośród innych częstymi wypadkami podrzucania żywych i nieżywych niemowląt, dzieci grzechu i bezwstydu; kroniki kryminalne zapisały oburzające zbrodnie i krzywdy, popełniane przez matki występne i niegodne ich doradczynie, — słowem, jakaś *force majeure* postawiła kwestyą tę na porządku dziennym. Zanim nasi moralisci rozwiązyli ją na drodze rozumowania i teorii, zanim obmyślono wielkie i szerokie projekta i reformy, powstał mały, prywatnymi siłami założony, zakład, urządzony według dobrych wzorów zagranicznych, zabezpieczony o tyle na początek, że będzie mógł rozpocząć swoją dobroczynną, humanitarną działalność.

Potrzeba tylko dopełnienia koniecznych formalności i zezwolenia władzy, aby instytucja przytuliła kilkanaście zbłąkanych matek i biednych ofiar ich zapomnienia. Nie są nam znane jeszcze szczegółowo ustawy tego Zakładu; wiemy tylko, że dzieci przyjmowane będą na wychowanie, albo za jednorazową opłatą, albo pod warunkiem wykarmiania przez matkę oprócz własnego dziecka, drugiego jeszcze towarzysza smutnej doli. Oile fundusze wystarczą, zarząd pomieszczać będzie swych wychowanków u matek na wsi, za stosownem wynagrodzeniem, zdając nad nimi opiekę proboszczom parafialnym.

Rozumie się, iż instytucja tego rodzaju musi mieć byt trwale zabezpieczony, nie może żyć z dnia na dzień, nie może oglądać się na chwilową łaskę i uśmiech losu; inicjatywa została dana, zrobiono początek, rzucano podwalinę; niechże teraz—kto może, mieści swoją cegielkę i domuruje ów dom, który ma być zatoką dla rozbitych łodzi na rozburzonem oceanie społecznym.

To porównanie przypomina nam jakiś stary wierszyk zapomnianego poety:

Z przystani żywota
Wybiegła łódka sierota,
Spowita pieluchą fali;—
Burza strzaskała jej wiosła,
Na zdrańcze głębie uniosła,
I rzekła: „Płyn sobie dalej!“...

Nie dajmyż płynąć jej bez wiosła i steru po zdradnych głębinach życia, nie mówmy głosem złej burzy: „płyn sobie dalej!“ my, którzy na stałym lądzie u pewnych brzegów mamy oparcie i schronienie!

* * *

Dwie głośnie kwestye zajęły, pomimo karnawałowego roztargnienia, uwagę publiczną; jedną z nich była „kwestya piwna“, którą poruszył lekarz-chemik Dr Alexander Weinberg, ogłaszając w *Kuryerze Warszawskim* rozbiory Gambrynusowego nektaru, wyrabianego w rozmaitych miejscowych i zamiejscowych browarach naszych.

Ze wszystkich interesowanych w tej sprawie producentów jeden tylko obruszył się z niezwykłą drażliwością i rozpoczął publiczną polemikę, która do wyswietlenia kwestyi niewiele się przyczyniła, ale zato dużo narobiła hałasu, dzieląc piwoszów nadwiślańskich na dwa stronnictwa. Nie przesądzając wcale, po której stronie więcej słuszności, przy wspomnieniu o samym fakcie opróżić się wolimy na zdaniu tak poważnego organu specjalnego, jak *Medycyna*, która w następujący sposób odezwiała się w ostatnim numerze:

„Z powodu ogłoszenia w pismach codziennych wadliwości, jakie expertyza wykryła w różnych

piwach warszawskich, powtarza się u nas widowisko dobrze nam pamiętne z czasów, kiedy naukowe badania i interwencya władzy wystąpiły przeciwko nadużyciu piwowarów i innych producentów materyałów spożywczych w Niemczech. Działo się to w r. 1877. Mamy nadzieję, że, jak w Berlinie treny niewinnie posądzanych brańców nie zwiodły lekarzy i higienistów i nie wstrzymały prawodawczej reformy, hamującej nadużycia, tak też i u nas sentymenta piwowarskie i zręczna dyalektyka ich bezinteresownych adwokatów nas nie rozczulą...“

Drugą kwestyą, ważniejszą, społecznego znaczenia, jest kwestya Polaków i cudzoziemców w fabrykach naszych krajowych. Przed kilkoma laty potracaliśmy o nią także w tem miejscu, ale, z braku szczegółowych danych, musieliśmy poprzestać na ogólnych uwagach. *Kuryer* postarał się o daty i wybrałszy na początek fabrykę maszyn i odlewów na Pradze, wykazał do jakiego stopnia tendencyjne protegowanie żywiołu obcego, tak pod względem obsadzenia ważniejszych posad technicznych, jak i opłaty robotników, na niekorzyść i krzywdę żywiołu polskiego wychodzi.

Kwestya ta, ze słusznem oburzeniem podniesiona, narobiła wrzawy, ale nie przeszła bez dodatniego rezultatu; już następnego dnia po ukazaniu się rzeczonych artykułów zarząd fabryki prazkiej uznał za stosowne *podwyższyć* pensye wielu miejscowym robotnikom; ci zaś przez wdzięczność dla pisma, które w obronie słuszności stanęło i przyczyniło się swoją interwencją publiczną do polepszenia ich losu, zrobili między sobą składkę i urządzili w kościele na Pradze nabożeństwo na podziękowanie Bogu i na intencją pomysłności swoich rzeczników.

Fakt to nader wymowny i charakterystyczny.

Już-to potomkowie wielkiego *Kulturvolku*, z właściwą sobie, plemienną butą, wspierają się na swoich pozycjach; zdaje się im, że dlatego, iż mieli Goethego i Schillera, nikomu więcej nie wolno mieć poetów; dlatego, że mieli Corneliusa i Kaulbacha, a mają Makarta, nie może nigdzie więcej istnieć malarstwo, — dlatego że Wagner jest ich rodakiem, nie śmie już żaden inny muzyk komponować dobrze; a dlatego wreszcie, że żelazny Bismarck jest ich dyplomata, każda siła przed każdym prawem ma mieć pierwszeństwo. Niechajby zresztą u siebie rozdymali się tą pychą i wyższością od Sprewy do Renu, byle nad cudzemi rzekami nie chcieli imponować drugim, zjadając smaczny chleb w gościnie, i jeszcze za to wymyslać gospodarzom na podziękowanie...

OBOWIĄZEK.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 5).

Smiles wraca poraz trzeci do wpływów rodziny i domu, lecz teraz, zwracając się do kobiety. „Nadzieja Francji jest w matkach“ — powiedział Dupanloup. — To samo należy powtórzyć o każdym kraju. Dlaczego przecież kobieta wyrwa się dziś poza sferę kobiecości, dlaczego woła że i jej należy się władza: władza prawodawcza, polityczna? Świat jest przecież tem, czem go robiła rodzina, w której kobieta rządzi, kobieta panuje. Przed wojną francuzko-pruską baron Stofel, zdając sprawę z porównawczego stanu Francji i Pruss, powiedział: — Karność wojska zależy od karności w rodzinach i towarzystwie. Młódz pruska biorąc na ogół jest wychowywaną w posłuszeństwie i uszanowaniu dla władzy, w uczuciu obowiązku. Lecz jakżeż wojsko francuzkie może być karnem, gdy niema karność w rodzinie francuzkiej?

A przecież Francya miała dość i dobrych szkół: miała lycea i kollegia; ale Smiles dodaje, że brakowało ich wychowawcom uszanowania dla rodziców, poczucia obowiązku, uległości prawu a nade wszystko: wiary w Boga (above all, belief in God). Tu Smiles spowiada Anglię, bada ją; czy nowy

przybór liberalizmu nie oddziaływa na zatracenie najdroższych owoców domowego wychowania: karności wobec obowiązku i moralnej strony charakterów. „Naród angielski — pisze on ze smutkiem — jest wyniosłym narodem. Pysni się ze swoich bogactw, ze swego przemysłu i potęgi swej floty; ale i Holandia jest niemniej i w taki sam sposób bogata, a przecież jest bezsilną między narodami. Dawniej tak nie było jednak: póki wielka idea, cel szlachetny ożywia ją, póki miała zapal, poryw ku rzeczom wyższym niż z bogactwami się i używanie swych skarbów, póty Holandia żyła życiem czynu i wpływu. Nie materialny majątek narodu stanowi o jego potęgę i rozstrzyga o jego losie“.

Ciekawą tu rzeczą jest ustęp wyjęty z ostatniej parlamentarnej mowy lorda Derby, w której ten statysta wykazuje, jak w Anglii obniżał się ciągle poziom tych przymiotów, które za dni wojen Napoleońskich, bitwy pod Waterloo, składały się na siłę i moc narodowego charakteru. Derby przytaczał tu kogoś, który mu zwrócił na to uwagę i rzecz swą zakończył wyraźnym brakiem nadziei, aby moralne położenie Anglii poprawiło się. Jest zapóźno na to powiedział: „Potop się zbliża i szczerliwi są ci, którzy już dożywają czasu swego“; Smiles, wierząc w nieuniknioną tego potopu dla Anglii, nakazuje jednak krzepienie się na siłach. Życie uczciwe daje je nam i udziela innym natchnienia w kierunku, który do tego wiedzie. Wytwarzają się zasoby ducha, na podobieństwo skarbów zebranych i zachowanych na chwilę potrzeby. Należy wyrabiać siłę charakteru i hartować ducha: czekające Anglii zapasy nazywa Smiles zapasami o życie: „The race is for Life“.

Uczciwość, trzymanie się prawdy, prawosć, zaliczają się do rzędu cnót, zbawiających człowieka od słabości i są zjednoczone ze sobą: uczciwość jest prawdą, a prawda jest uczciwością. Sama prawda nie uczyni człowieka wielkim, ale stanowi jeden z najważniejszych żywiołów wielkiego charakteru. Wzbudza zaufanie ludzi i ztąd ułatwia drogi życia naszego, jest treścią prawości i niepodległości charakteru, a prawdomówność staje się obecnie potrzebniejszą, niż była kiedykolwiek. Kłamstwo, przemilczenie prawdy, jest nie tylko nieuczciwością, ale i tchórzstwem. Prawda wymaga śmiałości, odważny nie potrzebuje nigdy kłamać. Najgorszym z kłamstw jest półkłamstwo, posługujące się omawianiem prawdy: cofamy się wtedy zarówno przed prawdą, jak przed kłamstwem i wprowadzamy w błąd, pozostając niby niewinnymi. Nieszczerość w życiu jest też kłamstwem, bo jest fałszywością, a fałszywym jest każdy, kto inaczej postępuje, niż mówi. Siedzi się wtedy na dwóch stołkach i niezgoda czynu z zasadą wyznawaną, jest wysokim stopniem kłamstwa. A schodzi się do tego zwolna: przez konwenans, przez pewnego rodzaju pobłażliwość, przez grzeczność; uważamy często kłamstwo za nie znaczące, gdy jest nikomu nieszkodliwe, szkodliwe jest przecież nam i pisarz angielski Ruskin, nazywa drobne kłamstwa sędziami z dymu życia, które zaczerniają nam ducha i dobrze jest wymieść je z serca, zanim stanie się czarnem od nich.

Prawda ma w sobie wielką siłę, wielką powagę, wielką godność. Smiles nagania fałszywe pojęcie patriotyzmu, które rozgrzesza dyplomatów z winy, ponieważ nie kłamią dla własnej korzyści, ale dla „pożytku“ ojczyzny. Ojczyzna odnosi najwyższy pożytek z dostojności ducha synów swoich. Kiedy Regulus przybył do Rzymu jako wojenny jeńiec Kartaginy, przysłany tam na słowo i z rozkazem, aby namawiał rząd rzymski do przyjęcia warunków pokoju, upragnionego przez Kartaginę, a który byłby sprowadził wolność jeńców, nie przez to okazał on wspaniałoduszność swoją, że przeciwnie poparł w senacie wojnę, ale przez to, że mimo nalegań całego Rzymu, mimo rozgrzeszenia danego Kartaginie słowa i powrócił w jej więzy, aby umrzeć w męczarniach za to, że nie stał się zdraycą interesów swojej ojczyzny. Śmierć jego przez bohaterskie trwanie przy prawdzie: to był najwyższy w owej chwili nabytek Rzymu, bo był to wzniósł przykład dostojności ducha i dzielności charakteru, posiew wielkich czynów, rzucony w grunt dusz rzymskiego narodu.

Trwanie przy prawdzie, prawosć charakteru okazuje się w sposób bardzo rozmaity: skrupulatność w wykonywaniu wziętego na siebie obowiązku, pilne i wierne wypełnianie powinności służby wszelkiej, publicznej czy prywatnej, to taka sama uczciwość, jak rzetelność kupca, jak niepodrabiany towar, niefałszowana miara i waga przekupnia. Uczciwość tego rodzaju jest najprostszem, najskromniejszym wyznawaniem prawdy, ale niemniej jest niem ono i ma wielkie, ogromne znaczenie w oddziaływaniu na charakter ludzki. Smiles wykazuje praktyczną nawet użyteczność uczciwości, korzyść jej w interesach pieniężnych, w handlu. Wykazuje, jak z obniżeniem się poziomu kupieckiej rzetelności w handlu wywozowy przemysł angielski ucierpiał bardzo i w bardzo licznych zastosowaniach.

Uczciwość, prawosć w postępowaniu, przynosi pożytek we wszystkim, a zysk nieuczciwego może być tylko krótkotrwałym. Każdy czyn nieprawdy obniża dobrobyt ogólny i summa nieuczciwości w postępowaniu jednostek jest nędza narodowa. Przemysłowcy, niechęć rozliczyć się uczciwie, według sumienia i prawdy z robotnikami swymi, sprowadzili na siebie i kraj klęskę bezroboci, zmów, klęskę wrogię dla nich usposobienia tych, których jednakże potrzebują niezbędnie. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest nie tylko wzajemne zastrzeżenie stosunków i podniecenia złych instynktów człowieka: dobranie się niebezpieczne do skrytych w sercu ludzkim uczuć nienawiści, mściwości, ochłodzenie miłości bliźniego, ale klasy pracujące unieszczęśliwiają się i zarazem demoralizują ogromnie, to już przez to samo, że z pracy ich usuwa się zamiłowanie do niej. Dla tego, dla razem wziętych tych przyczyn różnych, o których było wyżej, roboty naszego czasu stają się z każdym dniem gorsze: zapadają się tunele, wałęsają ledwo zbudowane domy, załamują się mosty żelazne. Zdobywamy sobie coraz to wyższe środki fizyczne udoskonalenia pracy naszej, ale poziom jej moralny obniża się i w miejsce postępu mamy cofanie się w tył. Nikt temu nie zaprzeczy, kto porówna pomniki pracy wieków minionych z dzisiejszymi dziełami.

Wszelka praca licha, jest najpierw nieuczciwością względem świata i ludzi, jest następnie względem nas samych przekroczeniem moralnem — jest kłamstwem. Z samej natury rzeczy wypływa, że każdy pracownik, na każdym polu czynności ludzkiej, obowiązany jest do pracowania najlepiej, najdoskonalej, jak umie. Dzieło pracy liczy z pozorem przymiotów, których nie posiada, zamaskowanie jej braków przez pokąźność zewnętrzną, jest występkiem przeciw prawdzie, jest zatem nieprawością, oszukaństwem i pewnego rodzaju kradzieżą. Wobec wyrobów pracy lada jakiej nie może być mowy o dostojności pracującego, o społecznej ważności dzieła jego, o godności pracy, i Sokrates już dowodził, jak ważną jest rzeczą, aby każdy usiłował dojść w zawodzie swoim do możliwej doskonałości. Jeżeli jesteś cieślą, staraj się być cieślą doskonałym, tak zupełnie, jak mąż stanu, pragnie pozyskać sławę i wielkość na wysokim urzędzie swoim. W każdej gałęzi pracy należy dążyć do tego i w każdej można mieć czoło uwieńczone wieńcem zasługi i godności. Lecz doskonałości dosięga się tylko przez trud powolny, przez naukę prób, a nawet niepowodzeń. Praca nieudana, lecz poprawiona, to pierwszy szczebel do doskonałości i dzieła bez nagany.

Bywają przecież dla pracy czasy lepsze i gorsze: dobre i złe, a jednak w chwilach pomyślnych, mało myślimy o możliwości chwil ciężkich; zaczynamy oszczędzać dopiero, gdy nas brak dotyka, lecz wtedy niedostatek nagły wytwarza nam położenie, utrudniające pracę dobrą i często obniża to jej doskonałość. A jednak jest to chwila właśnie, wymagająca pracy najlepszej: w czasach trudnych powinna ona być najdoskonalszą, aby wyższe jej przymioty oddziaływały pomyślnie na kryzys przemysłowy, które cięży nad pracującym.

Przyczyną złej roboty bywa najczęściej chęć z bogactwa się przedkładać, zysków bez odpowiedniego wkładu, zarobku bez pracowitego trudu, ale wyrachowanie to najmylniejsze i bardzo rzadko dochodzi się do czegoś na tej drodze próżniactwa, kłamiącego pracę. Gdy robotnik starej Eu-

ropy krzyczy na to, że zły układ społeczny, sprzyjający przewadze kapitału nad pracą, oddziaływa coraz więcej na zniechęcenie pracującego i ztąd na obniżenie doskonałości wyrobów tegoczesnych, czego Smiles dowodzi faktami co do Anglii, to w Ameryce, gdzie klasy pracujące mają zapewnione sobie w układzie państwowym wszystkie możliwe korzyści, w Ameryce, która jest rzecząpospolitą i nie posiada wcale arystokracji, powinoby być lepiej coraz, a przedewszystkiem lepiej niż gdzieindziej. Lecz, niestety, nie jest tak, a nawet przeciwnie, jest coraz gorzej i to gorzej, niż w Europie. Smiles cytuje źródła amerykańskie, oskarżając o to systemat szkolny, który zbyt wydeklatnia i rozpieszcza dzieci i daje całym massom takie wykształcenie umysłowe, które sprawia, że już potem nie chcą się brać spokojnie do pracy niższych zawodów, do pracy ręcznej, rzemieślniczej i tę spełniają jedynie przybysze z Europy. W Ameryce niema już dziś takich kowali, o jakich pisał Longfellow w sławnym w ojczyźnie jego wierszu: *Kowal wiejski*, kowali, którzyby od rana do wieczora, kując młotem w kuźni, stojącej pod rozłożystym kasztanem, śpiewali wesoło w zadowoleniu tem słodkim, że nie mają nic na sumieniu. W Nowym Yorku kaznodzieja przemawiał niedawno z kazałnicy o potrzebie tej pracy ręcznej, która zaczyna być pogardzaną, a która jednak wśród gwałtownych przewrotów fortun nowoczesnych, może być ratunkiem niejednego, może tak go uczynić znowu bogatym, jak bogaty niegdyś stał się ubogim. Ksiądz, dla tem silniejszego oddziaływania na słuchaczy, dodał: że w myśl tej nauki chowa własne dzieci, synów, z których każdy musi umieć jakieś rękodzielnictwo, znać jakąś pracę mechaniczną, aby wrazie potrzeby zapewniła mu uczciwie kawałek chleba.

Smiles notując fakta, zbijać się zdaje twierdzenie, jakoby mianowicie wyższe wykształcenie miało tak niekorzystnie oddziaływać na usposobienie pracujących klas amerykańskich, bo wykazuje, że i w przemyśle, gdzie przyczyny, mające wedle amerykańskich myślicieli być powodem złego, wcale nie istnieją, a przecież, dzieje się to samo. Ludzie nie chcą zadawać się handlem, prowadzonym na jego zasadach dawniejszych, lecz szukając, podobnie, jak lud amerykański, czegoś lepszego, rzucają się w przedsięwzięcia ryzykowne, często nieuczciwe, obrachowane na zysk prędki, na procent wysoki. Jest to pragnienie bogactwa, pragnienie conajprędzszego używania. Duch wieku uczynił z przemysłowców graczy w kości Fortuny; nie ogląda się w tych szrankach na tych, którzy padają; zostawia się ich w tyle, lub depcze po nich, dążąc do celu. W wyścigach o runo złote, wygraną znaczy posiadanie, otrzymane jak najprędzej, bo wierzy się tu przedewszystkiem w pieniądź. W wielkich miastach młodzież pracująca w przemyśle zostaje olśniona zbytami pryncypałów swoich, ich używaniem. Wszyscy oni wydają się ogromnie bogatymi, i jeżeli młodzieńiec nie posiada wielkiej siły charakteru, rozbudzają się w nim żądze, przykład go rozłakamia: rzuca się w spekulacje na własną rękę i jeżeli pierwsza przyniesie zysk pożądany, już nurt ten unosi. Puszczają się z nim, za jakąbądź cenę. Kredyt podpira się dziś pozorem bogactwa, przepychem, lecz gdy dawniej wszystko na tem polu działalności było otwartem i jasnem, dziś wszystko właśnie jest tu tajemnicą, jest rzeczą zasłoniętą, aż dopiero przychodzi okrutna katastrofa bankructwa, która odkrywa prawdę, wykazując, że wszystko było tu kłamstwem i fałszem. Często przecież padają w ten sam sposób ludzie rzeczywiście bogaci, których operacje przemysłowe miały podstawę gruntowną, ale chciano zysków nadmiernych i prędkich.

Narody, państwa całe, ulegają niejednokrotnie podobnemu losowi: bankrutują przez nierząd lub zbytek. Smiles stawia za przykład Grecję, Turcję, Hiszpanię; Hiszpanię zgubiło szybkie z bogactwami się przez nagły napływ złota z podbitych krajów Ameryki Południowej. Dostatek bez pracy: używanie zepsuło naród, poniżyło charakter, i dziś lud hiszpański jest niedołężny i leniwy. Hiszpan wstydzi się pracy, ale nie wstydzi się żebractwa.

Chęć bogactw, choćby nieuczciwie zdobytych,

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ile razy chciałam się podnieść z krzesła, zmuszał mnie siedzieć i słuchać. Nareszcie spytałam go: — Cóż mi pan professor radzi?

— Hm — rzekł — jeżeli acanna czujesz powołanie takie, że i o razowym suchym chlebie szczęśliwa jesteś, byłeś malowała, to ja jej powiem. Nauczyłaś się trochę u tego M.... Zwiąż-że teraz węzełki, pożegnaj się z nami, i ruszaj uczyć się tam, gdzie są wzory, ludzie, atmosfera artystyczna i gdzie sztuka coś znaczy.

— Dokąd? — spytałam go.

— Albo ja wiem? — odparł. — Dawniej uczono się w Dreźnie, teraz i w Monachium, i w Paryżu, i w Düsseldorfie, i we Florencji. Ciężka to sprawa iść szukać dróg, aby ich samemu nie trzebić. A no — kto ma miłość i powołanie....

— Więc, najbliżej do Dreznia? — spytałam, bo mi się ono z opowiadań ojca uśmiechało.

— A i do Dreznia można — rzekł professor. W jednym końcu „Boga-Rodzica“ Rafaela, w drugim „Matka Bozka“ Holbeina. W środku „Grosz cesarski“ Tycjana. Na boku „Cmentarz“ Ruysdaela — albo nie dosyć? Nie jedno to drugie powinno ducha rozpalić, jeśli w nim co palnego jest.

Rada była dobra, choć dla mnie trudna do wykonania. Musiałam czekać, ażeby się moje, obiecane przez Tarkowskiego, pieniądze zebrały.

— Tylko — dodał, malując, stary — nie wdawaj się acanna w te bezmyślne kopiaty dla grosza, na których można na wieki wieków rzemieślnikiem zostać. Studiuj dla siebie, a na sprzedaż bohomożów nie rób. Kopij dobrych na świecie niema, ani dwu obrazów jednej wartości. Sam Rafael, siebie kopiując, zrobiłby dwa a nie jedno arcydzieło.

Wstałam już nareszcie, chcąc się oddalić koniecznie, ale byłby mnie jeszcze wstrzymał, gdyby nie wpadł synek jego kilkoletni z krzykiem i nie przerwał roboty razem i gawędą.

Myśl rzucana mi przez professora utkwiała we mnie. Nie miałam nic lepszego ani innego do przedsięwzięcia. — A więc całą duszą sztuce się poświęć! Postawić życie na kartę! Czułam w sobie głos, który mi dodawał otuchy.

Aby więc czasu nie tracić, dopóki bym podróży nie mogła przedsięwziąć i do niej się przygotować, urządziłam w mojej izdebce pracownię na stoliku. Ręka potrzebuje wprawy ciągłej, oko także. — Do wiosny muszę siedzieć przy Domce i czekać. Nie mówię jej jeszcze nic o dalszych planach. Zlekła by się na próżno moich śmiałych nadziei dostania się do Dreznia — samej jednej....

A Bóg? a duch ojca, który czuwa nademną?

Strach miałam niezmierny. Nie wiem jakim sposobem znalazł się w Warszawie Julian. Poznał mnie; ledwie potrafiła zbiedz mu z oczów. W parę dni potem, zmuszona wyjść, oglądałam się już uważnie, aby nie spotkać się z nim znów, gdy wpadła na stryja Kantego. Zobaczywszy mnie, stanął z takim wyrazem żalu naprzeciw mnie, iż nie miałam siły uchodzić.

— Cóżś zrobiła? — rzekł do mnie. — Godziło się dla małych może jakich nieprzyjemności, rzucić się tak rozpaczliwie na tułactwo?

— Stryju — zawołałam z uczuciem. — Wierz mi, że nie żadne nieprzyjemności, nie żadne zniechęcenie było tego powodem. Postanowiłam najmocniej sama sobie na chleb i życie zapracować. Od pierwszej chwili po śmierci ojca, było to niedowolaniem.

— Ale gdzież jesteś? co robisz? — pytał.

— Jestem zupełnie bezpieczną, nie pytaj — odparłam. — Staram się o to, aby drogę znaleźć do pracy. Ażebym wam przykrości nie zrobiła, po-

rzuciłam nazwisko Ściborzanki. Bądź zdrow, stryju — zobaczymy się kiedyś, gdy ja pochwalic ci się będę mogła, żem dopięła, co postanowiłam. Chciał mnie wstrzymać; alem mu się wyrwała i uszła. Czemuż człowiekowi temu, który ma serce dobre, brak sprężyny, coby go poprowadziła, brak woli i tegości umysłu, tak mężczyźnie potrzebnej? Lecz, jeżeli mu dobrze z tem, dlaczegoż miałabym życzyć tego, coby mu może życie cięższem uczyniło? Dziś jest jak ten pływak, którego fale unoszą i kołyszą, a on nawet rękami nie potrzebuje poruszać. Płyn więc, kochany stryju, i niech ci życie takim będzie snem szczęśliwym.

Nie szukam już nic, nie myślę o niczem: całą żyję sztuką. Rysuję i czytam. Czytam, co mogę, o tej sztuce, o której napisano tak wiele, a której z książek nauczyć się nie podobna, bo ją odczuć potrzeba, bo się ona w słowach tak nie pomieści, jak słowo nie da się odmalować. Zdaje mi się, że rysunek, barwa, melodia, wyraz, dają, każde z osobna, coraz inną stronę życia, coraz innej natury pojęcie czy wrażenie.

Każda z tych sztuk jest całą w sobie i dopełniać się drugą nie może. Choćby szły w parze, jak w operze, śpiew wtórując słowu, coś innego, coś więcej wypowiada niż ono. Żenią się, lecz to są dwie zawsze odmienne natury, dwa różne światy. Moje malarstwo taki ma język bogaty, taką nieskończoność odcieni, nawet, gdy w szkicu nieformnym bełkocze, jak już wiele powiada!

Włoch Pel.... który ma zbiór sztychów, pozwolił mi je przeglądać. Znalazłam między niemi tę „Madonnę Syxtyńską“ Rafaela, która na mnie czeka w Dreźnie, i do której widzenia chciałam się przygotować, tak, jak się gotuje na audyencją do monarchy. O, jaką miał słusność professor, mówiąc o kopiach!

U Włocha znalazłam kilkanaście Madon i Madonnek Syxtyńskich. Wszystkie one trochę do siebie podobne, każda inna. Tamta w Dreźnie jeszcze inną być musi.

Serce mi bije, przyjsz jeszcze do siebie nie mogę. A! już chyba nigdy na ulicę wyjść się nie waży! Te spotkania! Nie podobna mi ich uniknąć. Chodzę zamyślona, nie widzę nic przed sobą. Wracam od Włocha, który mi sztychów pożycza, z moją teczką pod pachą, całą w dumach o mojej sztuce, gdy posłyszała pozdrowienie. Głos znajomy, a w pierwszej chwili nie poznałam go. Podnoszę głowę ze strachem jakimś: hrabia Zygmunt stoi przedemną.

Jest to jeden z tych ludzi, którzy mi są sympatyczni. Ma w sobie coś rycerskiego, szlachetnego, coś niepowściągliwego. Czuję w nim, że ma ideał przed myślą, do którego miary chce dorosnąć.

Patrzył na mnie ze współczuciem. Nie miałam teraz potrzeby ani uciekać od niego, ani spuszczać oczu. Owszem, spojrzałam na niego śmiało, aby wiedział, iż nie mam się wstydić się czego.

— A! jakżem szczęśliwy, że panią widzę — rzekł, zmieszany. Mogłaś pani we mnie przeczuć życiowego jej człowieka. Miałem o nią obawę.

— Dziękuję, odpowiedziałam — tembardziej, że mój śmiały a nieuchronny krok inni, mniej życzliwi ludzie mogli sobie bardzo różnie tłómaczyć.

— Mnie tylko żal pani było — rzekł — trochę przez egoizm, — a bardziej dlatego, że jeśli na świecie mężczyźnie osamotnionemu trudno sobie dać radę, coż dopiero kobietcie?

Dlategożby ona, zmuszona do walki z losem, stanąć nie miała, zostać amazonką, gdzie idzie o obronę najdroższej swobody, godności własnej? i nie dał mi dokończyć i podał rękę, której dotknęłam.

— Nie śmiem pani pytać o nic, a takbym rad wiedzieć — rzekł cicho.

— Tyle tylko mogę powiedzieć hrabiemu, że mi jest dobrze, że mi obóztwo jeszcze nie ciąży, i że sztuka, którą kocham i chcę się jej poświęcić, złoże horyzonty maluje przedemną.

Skloniłam mu się.

— Pani tu pozostaje? — zapytał.

— Czas jakiś — rzekłam, nie chcąc przeciągnąć rozmowy — potem, chcę się udać za granicę. Pobłogosław pan przyszłej artystce.

Zakończyłam umyślnie wesoło, aby się nie lito wał nade mną. Wymknęłam mu się z bijącym sercem. Wiem, że nadto jest delikatnym, aby mnie

wytworzyła bankructwa sztuczne. W Ameryce doszło do tego, że Stany całe, Stany bardzo bogate, ogłaszają się bankrutami. Tak uczyniła Pensylwania, kraj pełen dostatku i zasobów naturalnych. Stan Illinois, ubogi rzeczywiście, chciał naśladować ten przykład, ale jeden szlachetny człowiek wstrząsnął sumieniem współziomków i ocalił ich od nieuczciwości. Ponieważ w sprawach tych rozstrzyga tam głosowanie powszechne obywateli, bo każdy tworzący ognisko rodzinne (householder) ma tu prawo głosu, łatwo jest, podburzywszy nieuczciwie umysły, otrzymać niewypłacalność długu publicznego, i tak chciano postąpić w Illinois. W Springfield, stolicy Stanu, zwołano wielkie zgromadzenie głosujących i przedstawiono im do uznania akt, ogłaszający niewypłacalność długu publicznego; już nastąpiła zgoda na czyn nieuczciwy, gdy nagle jeden z mieszkańców Springfieldu, Stefan Duglas, chory i leżący w domu, każe się nieść na łożu między głosujących i porusza uczucie moralne zgromadzenia. Cofnięto się, a uczciwość wynagrodzoną została; kapitały, które napłynęły obficie, a które ofiarowały się niemal z zapalem same, podniosły prace publiczne i otworzyły mieszkańcom nowe a rozmaite źródła dostatku. Emigranci skierowali się też tam licznie; więc były siły, aby dokonać tego i dziś Illinois jest jednym z najbogatszych Stanów Ameryki. Posiada najwięcej dróg żelaznych, jego obszerne błonia stały się jednym urodzajnym zbóż łanem i dziś liczy wiele set tysięcy rodzin szczęśliwych i w uczciwej pracy, w uczciwym spokoju, używających rzeczywistego dobrobytu.

Nie wszędzie się tak dzieje, bo braknie nam dziś prawości charakterów. Ludzie stali się samolubnymi i zarazem pożądamy przede wszystkim, szczęścia, opartego na używaniu, na rozkoszy. Nie umiemy już dziś zadawać się małym, żyć z małego. Każdemu trzeba dziś dostatku, a przecież usunięcie z życia naszego zbytku, a nawet ograniczenie się w tem, co może być nazwane rzeczywistą człowieką potrzebą, prowadzi nie tylko do świętości chrześcijańskiej, ale do siły charakteru Starożytnych. Wiek nasz, który jest wiekiem postępu pod tak wieloma względami, potrzebuje przecież najmocniej, potrzebuje przede wszystkim, ludzi, którzyby zadawali rozumnie sprawiedliwe pragnienia swoje, przestając jednak na małym. Lacordaire powiedział: „Wielkie serce w maluchnym domu wzruszało mnie zawsze najwięcej ze wszystkich rzeczy ziemskich“, i Smiles przytacza zdarzenie, które Bernardin de Saint Pierre opisuje w dziele swem: *Etudes de la Nature*. W roku 1760 odbywał on kampanię niemiecką, służąc pod hrabią de Saint Germain, a gwałty popełniane przez wojsko nad zwycięzonymi, mordy, pożogi i rabunki, jakie wojna niosła ze sobą, wyprowadzając na wierzch wszystkie złe strony natury ludzkiej, wprawiały go w głęboki smutek i zniechęcenie, gdy naraz pocieszył go rys wielkiej szlachetności charakteru, okazanej przez prostego, ubogiego człowieka. Kapitan dragonów francuskich wyprawiony z całą swą kompanią na furazowanie, zajechał przed niską, wiejską chatynką i rozkazał jej gospodarzowi, już siwowłosemu, aby mu pokazał miejsce, gdzieby znalazł paszę dla koni dragonów. Stary spokojnie przyjął nakaz, zwrócił się w boczną, zakrytą dolinkę, gdzie, po pół godzinie drogi, ukazał się łąn jęczmienia już w pełnym kłosie, i zadowolony oficer chciał się tu zatrzymać, ale stary potrząsnął głową. Nie — rzekł — jeszcze nie tu... Poprowadził oddział dalej, do drugiego podobnego pola, gdzie dragoni puscili zaraz konie w jęczmień, który z drugiej strony prędko posiekli i związawszy w pęki, zabierali ze sobą na siodła tak, że w przeciągu paru godzin zostawało się za niemi tylko rżysko puste. Oficer zwalniając teraz przewodnika, zapytał go jednak: dlaczego nie dał im uczynić tej razzii na pierwszym jęczmieniu? — Bo ten tu oto był mój — odparł stary.

Nie mógł oprzeć się rozkazowi, ale nie chciał być zdrajcą, wydającym na łup wroga mienie sąsiada swego: oddał więc własność swoją.

(Dalszy ciąg nastąpi).

śledził i gonił za mną; musiał czuć i widzieć, że tego sobie nie życzyła.

Pisałam do Tarkowskiego, iż moich skarbów, które on ma pod swą opieką, potrzebować będę.

Pocziwy przyjaciel tak się troszczy o przyszłość moją, iż radby ich nie rozpraszać, przyczynić coś a zebrać dla — jak on nazywa — zabezpieczenia tej przyszłości. Zamało jednak mam, ażeby nie naruszając szczupłej sumki, mogła na nią rachować; lepiej ona posłuży, gdy ją na dokończenie mojego artystycznego ukształcenia obrócę. Na to ją przeznaczam. Nauczyłam się obrachowywać ściśle. Nie wiem jeszcze, jak drogo mnie będzie kosztować bardzo skromne utrzymanie za granicą, podróż i życie; więcej z pewnością niż teraz u Domki, która mnie żywi bardzo tanio. Pierwsze urządzenie się, także musi się liczyć... i pierwsze omyłki niedoświadczenia, z których ludzie będą korzystać. Ale przy największym nawet nieszczęściu, najwięcej popełniając błędów, które opłacać będę musiała, zdaje mi się, że tem. co mam, starczę na dwa lata: a w ciągu tego czasu, pracując gorliwie, powinnam dokończyć studyów i móz — je spożytkować.

— Jak! — jest to dla mnie zagadką. — Wszystkiego przewidzieć nie podobna w życiu, a niespodziewane gra w nim, niestety, rolę tak wielką, że rachunki bez gospodarza najczęściej zawodzą. Do zawodów więc też przygotowywać się potrzeba, a szczęśliwych niespodzianek nie wymagać od losu, bo on je rzadko daje komu.

Dziwne zdarzenie! Wybieram się do tego Dreżna, w którym umarł mój ojciec, i u jego grobu pójdę się naprzód pomodlić, aby mi cień kochanego pobłogosławił na dalszą wędrówkę życia. Uważam to za dobrą przepowiednię, jakby za znak, że on przyzwala na to, czego ja pragnę. Nic mnie więc już od zamiaru udania się do sańskiej stolicy nie odwiedzie; zacznę od niej. Mówią, że tam też najtaniej, najskromniej wyżyć można, i że ziomków tam znajdzie wielu. Nie chciałabym się im narzucać, ani ich szukać, lecz ta świadomość, iż się nie samymi obcymi jest otoczona, ma w sobie coś uspakajającego.

Czekam wiosny, a potem pożegnam pocziwą Domkę i kochany kraj, jeśli nie nazawsze, to na długo. Sztuka, która, jak professor P. powiada, u nas nie ma powodzenia i do niczego nie prowadzi, może mnie gdzieś zagnać daleko.

Domka, której jeszcze nie wypowiedziałam się z tego, co z sobą myślę uczynić, niepokoi się widocznie, wypytuje mnie, trwoży się, może nawet domyśla czegoś. Musiałam jej użyć, aby za tem pośrednictwem, nie zdradzając gdzie jestem, sprowadzić moje rysunki i szkice, które z sobą zabrałabym chciała. Pod jej adresem każę je przysłać.

Nie wychodzę już teraz prawie z domu, tak się obawiam nowego jakiego spotkania. Potrzeba się oderwać od wszystkiego, co wiąże z przeszłością, co ją przypomina, aby serca nie rozmiękczyć, meztwa nie utracić. Nie powinnam oglądać się za siebie.

Muszę, jak ów Orfeusz z Eurydyką iść ciągle naprzód i nie dać wzrokowi sięgać tam, dokąd powrót niemożliwy. Czasem jeszcze żal ogarnia, serce się ściska, zwątpienie przychodzi i niemoc. Są to pokusy spokoju i żywota upokorzonego, bez troski, lecz i bez godności; odpycham je, bo czuję, że ojciec byłby, jak ja, wolał trud i walkę niż smutne, bezsilne zdanie się na łaskę czyjąś.

Tak — o wszystkim trzeba zapomnieć. Bóg mi dał piękną, jasną młodość swobodną; żyłam kilkanaście lat, jak pani, te lata powinny być wlać we mnie siłę, a nie wspomnieniem swem mi ją odbierać. — Święty ojciec mój drogi, jakby przeczuwał, co mnie czeka, niczego nie szczędził mi na wychowanie, na wykołysanie ducha mego. Naprzód więc, śmiało, z uśmiechem na ustach! Życie jest krótkie; trzeba je przejść, nie uginając się, nie jęcząc. Wyzwolenie przyjsć musi.

Pięknego dnia wiosennego, na lipskim dworcu kolei żelaznej w Dreźnie, wysiadająca z pociągu przybyłego rankiem, młoda pani, zakwiefiona, ubrana skromnie, oglądała się z pewną obawą po tem, co ją tu otaczało. Dźwięki obcego języka, dające się słyszeć do koła, dla niewprawnego jesz-

cze ucha nie dobrze zrozumiały, odpowiedzi na pytania jej niejasne, wprawiały ją w kłopot widoczny. Z torbą podróżną w rękę, niewiedząc gdzie szukać reszty swojego pakunku, kim się posłużyć, dokąd iść, popychana, zostawiona bez objaśnienia, o które się nieśmiały dopraszała głosem, w pierwszej chwili tak jakoś czuła się zmieszana i niepewna co pocnie, że się jej mimowolnie wyrwało polskie:

— O, mój Boże!

Było ono wyrzeczone pocichu, a jednak ktoś stojący przy wyjściu z dworca i zdający się oczekiwać na kogoś, posłyszał ten wykrzyknik i odwrócił się. Był to młody mężczyzna, ubogo ubrany, nie piękny, bladej twarzy, ospowaty, z oczyma małemi, głęboko w głowie osadzonemi, dość słusznego wzrostu, chudy i niezgrabny. Ruchy jego zdradzały jakąś nieszykowność, coś, jakby strwożonego i niepewnego siebie; strój niedbale włożony, zszarżany, mówił o ubóstwie lub obojętności na to, jak się ludziom przedstawi.

Oczy wciągnięte, zapadłe, patrzyły trwożliwie i niespokojnie. Pochwyciwszy wykrzyknik ten w języku, od którego dźwięku zadrżał, młody mężczyzna, wahał się chwilę, posunął na krok, jakby chciał przyjsć w pomoc podróżnej, uklął się własnego zuchwalstwa; chwilę zdawał się walczyć z sobą, i zebrawszy się na meztwo, wyjąknął, uchylając wytarty kapelusz.

— Pani tu obca: jeżeli bym mógł w czem usłużyć, jako rodaczce....

Dźwięk głosu był tak pokorny i sympatyczny razem, a obudzający zaufanie, że, zaledwie zdumionem okiem zmierzwszy mówiącego, panna Ludmiła, gdyż ona to była — odezwała się śmiało:

— A! bardzo panu byłabym wdzięczną, gdyż niebardzo zrozumieć mogę mowę, do której nie nawykłam, i nie wiem, gdzie się obrócić

— Proszę pani, miło mi będzie jej ułatwić pierwsze kroki; ja tu już mniej obcy jestem. Przyszłbym oczekiwać na przyjaciela, który nie przybył; jestem wolny. — Służę pani.

To mówiąc, żywo i czynnie zajął się nieznanym odebraniem pakunku, sprowadzeniem powozu, drobnymi rozpłatami i, choć zawsze trwożliwie i wahać się, doprowadził szczęśliwie do końca to wyładowanie na brzeg obcy, które przybyła trochę już było strwożyło.

Nie śmiał nawet zapytać panny Ludmiły o jej nazwisko, ani się sam zaprezentować, i miał się już, unikając podziękowań, oddalić, gdy ona sama, pytając go jeszcze o radę: dokądby zajechać mogła, zażądała dowiedzieć się: komu uprzejmą taką pomoc winna była?

— Ja jestem Warszawiak — rzekł, jakając się, młody mężczyzna, dostałem się tu dla nauki rzeźbiarstwa, kształcę się niby na artystę — dodał, oczy spuszczaając, jakby się zuchwalstwa swojego zasromił.

— A ja także przybyłam niby na artystkę się sposobić — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem Ludmiła — jesteśmy więc kolegami.

— Nazywam się Prosper Sitko — odrzekł, podając jej kartkę pisaną od ręki na prostym kawałku papieru, bo na inny bilet zebrać się biedak nie mógł zapewne. Jeśli pani jeszcze w czem będę mógł usłużyć....

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRASSA W AMERYCE

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Wojna na pograniczu indyjskiem: gazety podają opisy potyczek daleko prędzej i prawdziwiej od depesz urzędowych, bo ich reporterzy uwijają się wśród świstu kul i zaraz po bitwie, na koniach rozstawnych, które na śmierć zajeżdżają, dają

przez pustynię, szeroką i zdradliwego wroga pełną, do najbliższej stacyi telegraficznej, aby ich słowa wpadły z iskrą elektryczną do redakcyi, nim się rozwił dym ponad pobojowiskiem. Nic nie ujdzie czujnemu oku zorganizowanego reporterstwa, które do trąby słoniowej wolno przyrównać, co i wielkie drzewo w lesie i śpilkę na arenie umie podnieść. W niem, jak w zwierciadle stan rynków handlowych i salonów arystokratycznych się odbija. Ono, powtórzy z równą obiektywnością krwawą spowiedź morderey, jak kazanie sławnego kaznodziei. Ono przynosi do miliona ust pianę, słodycz i drożdże codziennego życia. Przykładnie bezstronne, bo anonimowo ściśle przestrzegać musi, a nazwisko najzdolniejszego ze współpracowników nigdy poza tajemniczym kantorem redakcyi nie bywa znane, nie lekając się nadzoru urzędowego lub zemsty osobistej, która by tylko na wydawcę spaść mogła, a nigdy na współpracownika, jest ono zwięzłym i rzetelnym kronikarzem dnia bieżącego, zwierciadłem swej społeczności. Tej reporterce amerykańskiej, czujnej, energicznej, sprawiedliwej i prawdomównej najczęściej, chwalonej przez wszystkich znanych mi, myślących Europejczyków, co jej systemat zrozumie, zawdzięcza, mojem zdaniem, prasa tutejszo-krajowa swą poczytność i wpływ.

Jakiż jest jej duch?

Na podstawie wielkiej liczby uważnie wertowanych w ciągu lat kilku znakomitszych pism peryodycznych amerykańskich, osmielam się na to pytanie odpowiedzieć, że w artykułach od Redakcyi, korespondencyach i sądach wszelkich większości tej prasy stara się być liberalną, postepową, tolerującą wszystkie opinie i sprawiedliwą dla wszystkich krzywdzonych. Nieraz się myli, bo jest ludzką. Często łuska na jej oczach długo spoczywa. Niekiedy się uda przez całe olimpiady ją tumanić. Znam takie przykłady: jeden z nich, natury zajmującej dla mnie, więc którego powody próbowałem wykryć, powtarzał się bardzo długo. Pozbawieni bezpośrednich, poufnych środków informacyi, nowiniarze amerykańscy powtarzali jako echa głosy niemieckie i inne, ale nie z woli złej, bo w każdym wypadku, w którym prawda naksztalt oliwy się z powodzi fałszu wydobyła, naprawiali swój błąd z pospiechem, a teraz traktują i ten przedmiot sprawiedliwie.

Przytoczę kilka świeżych dowodów bezstronnego usposobienia tych dzienników potężnych. W czasie *kulturkampf*u nie było prawie gazety, która by po stronie ciemniejszej nie stanęła, bez oglądania się na opinię kilku milionów Niemców amerykańskich, przedplacicieli swoich także, a w przeważnej liczbie zwolenników polityki ks. Bismarcka. Podczas gwałtownego wypróżniania klasztorów we Francyi sympatyie tutejszego dziennikarstwa bez wyjątku prawie były dla legitymistów i braciszków, ale tylko w punkcie nietykalności tych ostatnich, bo zresztą nie ma republika p. Gambetty gorliwych obrońców, niż w tej prasie nawskróś demokratycznej i całkowicie prawie pozytywnej filozofii hołdującej. Zważywszy, że wielka liczba jej redaktorów jest przejętą naukami Herberta Spencera, Huxley'a i t. p. myślicieli angielskich; zgadując ich opinie religijne, z których się nigdy prawie jasno nie spowiadają, ale których ukryć nie mogą, mimo całej swej ostrożności, jak przedmiot postawiony na słońcu swego cienia nie schowa; pomnac dalej przesady, tak protestantów, jak niedowiarów przeciw katolicyzmowi, celowi wspólnej ich nienawiści i pocisków: prędkie, obiektywne ozwanie się tych redaktorów, nie za Platonem, ale za prawdą, utwierdziło mnie w zdaniu, że trybunał z nich złożony chciałby, według sił ludzkich, z wagą sprawiedliwości, uczciwie się obchodzić i prawdę kocha. nawet, gdy jest dlań gorzka.

Taki jest duch tej księgi bez końca, dzień po dniu więcej czytelników znajdującą od Biblii i od elementarzy szkolnych. Ludzie ją polykają, na złe, lub na dobre dla siebie, ludzie co nigdy nie innego nie czytują, bo ona wnika gwałtem do ich domów, przynosząc prawdę, bardziej zajmującą niż nkeja wszelka, o myśli, o życiu i świecie naokoło. Jej karty, ze swojemi ciepłymi obrazami miłości i nienawiści, grozy, smutku, wesela, życia, śmierci, posiadają dla milionów urok nad opis wszelki, a wpływ ich odpowiada wywieranemu czarowi,

Gdyby ta prassa była tylko wierną kroniką, trudnoby sobie wyobrazić gościa bardziej pożądanego w uczciwym domu, twardszą cytadelę swobody, wierniejszego sprzymierzeńca dobrych rządów, sprawiedliwszego krytyka występów; lecz, powiedzmy prawdę, nie jest ona doskonałą, ale ma w sobie żywioły Boże, ludzkie i piekielne, jak je zawiera każda rzecz, która z serca człowieczego się rodzi.

Prassa ta przypomina mi potwór, w proroczej duszy raz wyniony—posąg kolosalny, którego głowa ze złota czystego, piersi i ramiona srebrne, łącznie żelazne, uda żelazne, a nogi gliniane. Najwyższe i najlepsze organa amerykańskie są piękne i złote; aliaż się miesza z dziennikarskim kruszcem, im niżej stoją w uznaniu warstw ukształconych; ulubione piśmida proletaryatu wielkich miast z kału są ulepione. Przy swobodzie słowa, bez granic prawie, obawie administracyjnego dozoru żadnej, małym leku nawet trybunałów, wyrobiła się szkoła dziennikarstwa rewolwerowego, dogadzająca rozpuście, pragnieniu sensacyjnych plotek, słowem, wszystkim złym instynktom pewnej części społeczności. Wieki wytworzyły w przeciętnym obywatelu amerykańskim popęd do stawiania po stronie gazety inkryminowanej: więc w sporze między publiczną albo prywatną jednostką, zaczepioną niesprawiedliwie, a gazetą zaczepiającą, niełatwo o bezstronny sąd. Indywiduum musi nieraz cierpieć, bo zasada wolnego słowa jest drogą i zazdrośnie strzeżoną.

Ten stan rzeczy sprzyja chwastom dziennikarskim. I znów się stara historia powtarza, że jacy rządzeni, taki rząd, jaka publiczność, taki teatr, jacy czytelnicy, takie gazety. Złoto i srebro, spiż i żelazo i kał w amerykańskiej prassie, znajdują się w narodzie, co dzienniki czyta, utrzymuje, nagradza lub karze pieniężnie. Przy całej swej potędze prassa musi dogadzać massom—jak senat, jak kongres, jak dramat; jest ona ich utworem i obrazem, a natury zamilowane w zjadliwych brudach, mają także prassę swoją, o której wolno rzec, na chlubę dla ogółu, że nie jest ani bardzo rozpowszechnioną, ani bogatą. I gdzież niema ujemnego dziennikarstwa?

Mówiąc o gazeciarnictwie ze znakiem plus, podziwiam najpierw jego przedsiębiorczość w zbieraniu nowin. Jest to pierwszym warunkiem powodzenia tutejszego pisma, żeby wiadomości w niem były świeże, dokładne, oile można prawdziwe. Drugim warunkiem popularności jest styl jasny, treściwy, potoczny i częste iskry humoru, drogiego Dzonatanowi. Wielkie gazety tutejsze starają się ścisnąć całą treść i sens starannie opracowanych artykułów wstępnych, jakimi dzienniki europejskie celują, w połowie szpalty. *Times* londyński lub paryżkie *Débats* nie znalazłyby czytelników między ludźmi, których życie jest gorączkowe, niecierpliwe, chciwe rozmaitości. Każdy redaktor wie, że długiego kazania niktby czytać nie chciał, a dziennik powtarzaniem takich kazań pozbyłby się prenumeratorów: skraca więc swe opinie, a zapełnia olbrzymie stronnice niezliczonemi, krótkimi paragrafami o wypadkach i wypadkach dnia wczorajszego, i tylko w wyjątkowych wypadkach pozwała sobie na dłużyzny.

—Pisz jaknajczęściej, po trzy i cztery kolumny—zaklinał mnie raz pewien redaktor najpopularniejszej z gazet New-Yorku, sławnej w świecie. Było to wkrótce po moim przyjeździe z Europy, w chwili namiętnego zajęcia się Amerykanów spiskami. Gazety rywalizowały o wiarogodne, obszerne doniesienia. Chodziło im także o to, żeby ludzie najrozmaitszych opinii, skutkiem narodowości swej lub prywatnych stosunków interessowani byli dokładnie informowani w tej sprawie *pro i contra* o zasadach i dążeniach przewrotnego ruchu. Nie było dnia bez długich artykułów o nim, w tej lub owej gazecie, ale dla braku Amerykanów ze stosunkami słowiańskimi obeznanych jeden artykuł bywał niedorzeczniejszy od drugiego. Emissaryusze kilku redakcyj biegali po New-Yorku w ważnym poszukiwaniu—człowieka, któryby coś wiedział i chciał i umiał wysłować, a jeden z nich spotkał przypadkiem dwie takie osoby, z których jedna wiedziała cokolwiek, druga zaś miała możność udzielić wiadomości w formie pożądanej. Ztąd

to dał mi ów redaktor *carte blanche* do zapelniania łamów, których cztery materiały sporej broszury zawierały, bo amerykańskie gazety używają czcionek bardzo drobnych. Tę pisaninę honorowano tak szczerze, że za artykuł w jednej nocy napisany, nieczytelny, niepoprawiony, bez wartości realnej, sto dolarów kazano wyliczyć. Było to złote żniwo przez parę tygodni.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Styczniu 1881 r.

Pierniki Czyńskiego.—Karnawał.—Koncerty.—„Opatrzność“, towarzystwo ku usunięciu zebraństwa.—Wienawski.—Mleczarnia higieniczna.—O niższego rzędu grzybkach, przez Dra Wojciecha Urbańskiego.—Ogrody północne, *Strumilly* w uzupełnieniu i przerobieniu wydania profesora Tynieckiego.—Praktyczny podręcznik do obliczania procentów.—*Zarys dziejów literatury polskiej*, przez profesora Kulickowskiego.—*Świat powieściowy*, pismo peryodyczne.—*Dziwne karyery*, powieść Jana Lama.—Humorystyczne powieści autora *Kłopotów starego komendanta*.—Muzeum imienia „Dzieduszyckich“.—Wyprawa myśliwska do Syrii.—†Kornel Krzczonowicz.

(Dalszy ciąg).

Od ogrodów przejdźmy do rachunkowości. Na półkach księgarskich, jak w życiu, spotykają się często poezja z prozą, ideał z rzeczywistością, Krasinski z p. Cwierzakiewiczową. Księgarnia Sajfarta i Czajkowskiego wydała nader pożyteczne dla osób zajmujących się kassowością i wogóle obrotem finansowym dziełko: *Praktyczny podręcznik do obliczania procentów z dołączeniem tabeli procentowej*, przez A. N. System obliczania odsetków wyłożony tu jest popularnie. Pierwsza część zawiera teorię zasadniczą rachunku odsetkowego; druga podaje ułatwienia i skrócenia, praktyczną wartość mające. Dodane w końcu tablice pozwalają bez długiego mozola wynaleźć na pierwszy rzut oka wysokość odsetków od rozmaitej wysokości kapitałów w pewnym oznaczonym czasie przy rozmaitej stopie odsetkowej.

Ta sama księgarnia wypuściła w obieg drugie wydanie *Zarysu dziejów literatury polskiej, do użytku szkolnego i podręcznego*, przez Adama Kulickowskiego. Pierwsze wydanie, dawno już wyczerpane, wyszło było przed trzynastu laty u Karola Wilda, podówczas najczynniejszego z nakładców lwowskich. *Zarys literatury* Kulickowskiego ukazuje się obecnie znacznie pomnożony, a w wielu miejscach zmieniony na lepsze. Do takich szczęśliwych zmian zaliczamy przede wszystkim odrzucenie nazw w pierwszym wydaniu poszczególnym epokom nadanych, od rozwijających się w nich wrzeczko kolejno, wedle wyrażenia autora, *światodziejowych idei*, mianowicie idei klasycznej, scholastycznej i narodowej, cechujących trzy główne epoki w rozwoju naszej literatury. Dobrze uczynił p. Kulickowski, że, zatrzymując w dziele swem dawny schemat, bardzo stosowny, odrzucił niewłaściwe a obalamujące nazwy tych zasadniczych pojęć, na których podzielił swój dziejowy literatury naszej oparł. W opracowaniu przedmiotu trzyma się on metody biograficznej, która najlepiej obznajamia z całym obszarem literatury, wyjaśniając warunki, pod jakimi rozwijały się zdolności i kierunki naukowe każdego z główniejszych pisarzy. Każdy okres poprzedza Kulickowski treściwym poglądem na dzieje polityczne i społeczne, pod których wpływem krzewiła się praca umysłowa, wyrabiał duch literatury, wytworzały rozmaite jej prądy. Znajdują się wprawdzie tu owdzie sądy krytyczne, mianowicie o nowszych pisarzach, zanadto apodyktyczne, nieuzasadnione, ferowane kilku słowy; z którymi niezawsze zgodzić się można. Pomijając przytem inne jeszcze usterki lub niedokładności, pochodzące ztąd, że autor starał się być ile możności zwięzłym, ażeby podręcznik swój uczynić jak najtreściwszym, praca p. Kulickowskiego odpowiada dobrze swemu zadaniu, przedstawia całość dziejów naszej literatury, ułożoną systematycznie

ze znajomością rzeczy i zdrowym poglądem. Nie ma w niej przeładowania szczegółami bibliograficznymi. Każdy okres w należytem występuje światło, z uwypatnieniem głównych kierunków i wymienieniem naczelnich pisarzy.

Wyszedł tu *Rocznik szlachty polskiej*, ułożony przez Jerzego Sewera hr. Dunina Borkowskiego, na wzór znanych Almanachów gotajskich i wydany w takim samym jak one formacie. *Rocznik* wylicza tylko osoby żyjące, a dodatkowo jedynie wymienia zmarłe, i to najbliższych krewnych. Dział rodzin książęcych i hrabiowskich opracowano dokładnie. Natomiast szczupły bardzo stosunkowo jest spis rodów szlacheckich, albowiem autor umieszczał te tylko, których genealogie mu nadesłano, a właśnie mało osób się zgłosiło z doniesieniem szczegółów rodowodowych. *Rocznik* ma być stałym wydawnictwem i pojawiać się z każdym Nowym Rokiem. Układ jego wogóle jest bardzo pracowity. W każdym dziale dodane są tablice z zestawieniem liczby dostojenstw koronnych w każdym z przytoczonych rodów. Tablice te dają ciekawy pogląd dziejowy. Wogóle, będąc narzędziem do nasycania próżności, *Rocznik* może być zarazem w niejednym względzie dobrym materiałem historycznym. Szkoda tylko, że wydanie nie jest tak staranne, jakby należało, pod względem typograficznym i zawiera mnóstwo błędów, co w dziele podobnego rodzaju, heraldyko-genealogicznem, jest większym owiele złem niżeli w pierwszej lepszej książce beletrystycznej, i obniża znacznie jego wartość.

Rola powieści nigdy u nas nie leży odlego. Pomiedzy wydawnictwami lwowskimi beletrystyka zawsze górą. Poświęcony jej wyłącznie *Świat powieściowy*, czaso-pismo tygodniowe, wydawane przez Manieckiego, które zastąpiło dawniejszą *Więźankę*, jest pierwszym u nas pismem peryodycznem bez żadnej przymieszki literackiej, ograniczającem się na samej jedynie powieści. Przeglądając wydawnictwa Księgarni Polskiej, znajdujemy tutaj także przeważającą liczbę powieści. Obecnie wyszły w osobnym odbiciu *Dziwne karyery*, powieść dwutomowa Jana Lama. Lam jest humorystą; a że humor i dowcip posiada zawsze ponętę wpośród trosk i kłopotów powszednich, zwłaszcza, jeżeli drażni ciekawość zżęcznie zastosowanemi, pieprzemi aluzjami do spraw bieżących i stosunków miejscowych: przeto i pisma Lama chętnie, a przez wielu pożądlwie nawet, czytane bywają. Jako powieściopisarz, rozwinął on w kilku dawniejszych swych powieściach, odznaczających się prawdziwie artystycznymi zaletami, wielki talent. Obecna zaś powieść: *Dziwne karyery*, początkiem swym zacięła publicznosc tutejszą bardziej jeszcze niż którakolwiek z dawniejszych. Ponieważ scenę działania umieścił Lan tym razem w kraju zwanym *Milicą i Landwerą*, i wprowadził kilka postaci, w których żyjące chciało upatrywać osoby, mniemając, że ma to być powieść osnuta na rzeczywistych zdarzeniach, których widownia miała być nasza Galicya i Lodomerja: spodziewano się więc w powieści skandalu, drobnych zakulisowych paszkwilków, rozmaitych aluzji osobistych i tym podobnych rzeczy, fotografowanych z natury, a najbardziej zaostrzających apetyt i zdolnych podobać się, dlatego, że odkrywają ulomności naszych sąsiadów, podrażniając zarazem namiętności stronnice, a schlebając próżności naszym. Lam zawiódł atoli w dalszym ciągu powieści owe oczekiwania łaknących paszkwilu czytelników. Znajdujemy w utworze tendencją społeczną, znajdujemy ciętą wielu stosunków naszych satyrę; ale srogo zawiedli się ci, którzy mniemali zabawić się w nim wzorkami złośliwie z natury wprost zdjętymi. Są tutaj typy doskonałe naszkicowane; ale kto zna miejscowe nasze życie i stosunki, nie dopatrzy wpośród figur odgrywających rolę w powieści, portretów osób żyjących, chociaż, rzecz naturalna, wiele poszczególnych rysów, składających się na uwypatnienie owych typowych postaci, zebrał powieściarz z rzeczywistości. Jak malarz posługuje się farbami z różnych składającymi się pierwiastków. Za główną treść posłużyły mu szczegóły głośnego u nas tu przed parą laty procesu w sprawie założenia pewnej, niefortunnie obmyślanej

i prowadzonej instytucji kredytowej. Rzecz jednak trzyma się w ramach ogólnych satyrycznej tendencji, nie wywlekając na widownię osób prawdziwych. Ztąd zawód w czytelniczym obozie zwolenników skandalu, lecz tem większa wartość powieści ściśle artystyczna.

Mamy też we Lwowie i drugiego humorystę: Wilczyńskiego, którego pojawiające się dosyć często powieści i obrazki humorystyczne z wielką przyjemnością czyta nasza publiczność. Humor Wilczyńskiego nie posiada tyle uszczypliwego dowcipu, ile się go mieści w piórze Lama, a satyra zawarta w jego powieściach nie obraża nikogo, pomimo, że wytyka najrozmaitsze wady społeczne, ale czyni to z taką prostotą, z taką, rzekłbym, serdeczną naiwnością i swobodą, że lekarstwo połyka się bez odrazy i skutkuje niepostrzeżenie. Humoreski autora „Kłopotów starego komendanta”, są fotografiami najzwyklejszych, drobiazgowych stosunków życia codziennego, w których dar spostrzegawczy autora umie dopatrzyć strony zajmującej i strony nauczającej i zestawiać je tak, iż prawda i nauka w nich zawarta sama na wierzch wypływa. Ta niewymuszona prostota kompozycji, ta, zanadto może niekiedy szczegółowa, drobiazgowość opowieści, szczerem, swobodnym humorem owiana, jest główną cechą pism Wilczyńskiego. Też same znamiona posiadają dwie jego ostatnie powieści: *Wspomnienia obywatelskie* i *Sielanki szlacheckie*. W pierwszej wybornie opisał autor nasze biura wywiadowcze i zabiegi pewnego rodzaju spekulantów, trudniących się sprzedażą majątków ziemskich, tudzież przyczyny upadku tychże majątków; znajdujemy tu znakomicie oddany typ wioskowego szlachcica, rzucającego się po utracie majątku w zawód handlowy, na którym nie rozumiejąc się wcale, nieogłębłością i lekkomyślnością traci resztę tego, co miał; wreszcie obraz upadku fortuny arystokratycznej rodziny. Z przytoczonej tu osnowy już widać, że Wilczyński nie jest humorystą dla zabawki, lecz pisarzem tendencyjnym, społecznym, tylko, że tendencyi nie ubiera w toę doktrynerską, ale obrazki swe kreśli niby od niechcenia, jak mu się same w życiu powszednim nasuwają. Tym sposobem dotyka kolejno całego obszaru stosunków życia towarzyskiego i społecznego, wiejskiego i miejskiego z wszystkimi wadami i śmiesznościami, zasługującymi na potępienie i wymagającymi poprawy. W *Sielankach szlacheckich* niejedno tego rodzaju znajduje się ziarno gorczyźne, podane mimochodem dla tych, co życie wiejskie i jego przyjemności uważają za wiecznotrwałą sielankę, lekkomyślni, nie oglądają się na przyszłość, lub też, patrząc zdaleka, nie widzą jego kłopotów i trosk powszednich, dających się usunąć jedynie pracą, rozumem i zapobiegliwością.

Muzeum przyrodnicze hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego zostaje już stanowczo zakładem publicznym, jako *Muzeum imienia Dzieduszyckich*. Temi dniami wyszedł tom pierwszy katalogu rzeczonożego muzeum, zawierający dział ornitologiczny, poprzedzony obszernym wstępem, w którym założyciel kreśli dzieje utworzenia tego zbioru, jego stan obecny i ogólny zarys organizacji przeznaczonożego na użytek publiczny zakładu. Znajdujemy tu wiele szczegółów ciekawych, rzucających światło na stan nauk przyrodniczych u nas, w chwili, gdy hr. Dzieduszycki zaczął gromadzić zbiory tworzące dzisiaj jego muzeum.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Edinburg, w Styczniu 1881 r. (spóźnione).

Wypadki nieprzewidziane — uspokój się jednak czytelniku — wypadki niewpływające na los świata, przerzuciły mnie z pięknego ustronia nad La Manche na południe Szkocyi, ale to południe gorsze od niejednej północy; surowe powietrze gór,

którem oddycha Edinburg, przypomina zupełnie mroźne nasze zimy.

W Edinburgu przepędziłam święta Bożego Narodzenia. Te „święta” są tu tylko czezą nazwą. Szkotowie nie przerywają sobie wcale swych zajęć, nie odprysięgają się handlu, i wogóle amerykańskiego *businessu*, na czas świąteczny. D. 25 Grudnia niczem się tu nie różni od innych; ruch przemysłowy i handlowy odbywa się w tym dniu bez żadnej odmiany. Zato dzień Nowego Roku obchodzi Szkocya uroczystie. Tłumy ludności roboczej, wylegając na ulice, zapełniają je literalnie jedną żywą masą. Zazwyczaj, gdzie tysiące jest robotników, tam trudno szukać doboru. Wierzę, że i tutaj są trzeźwi, zapobiegliwi, uczciwi; ale niemal na wszystkich ulicach miasta odbywa się formalne obleganie szynkowni.

Pomimo dni pięknych i pogodnych potrzeba-by blisko na tydzień zamknąć się w domu i cieszyć jedynie widokami z okna, gdyby nie ciekawość podróżnicza, która, pomimo wszystkich nieprzyjemnych okoliczności, wywabiła mnie na miasto i zachęciła do poznania go przynajmniej z pozoru.

Pięknym jest Edinburg. Po ogromnych, ale brudnych *cities* angielskich wydał mi się czarodziejskim. Zbudowany na czterech pagórkach, schodzących się ku sobie w samym środku stolicy, piętrzy się niekiedy, jakby pod obłoki, to znów spada w przepaść. Ulice nagle rosną gdzieś w górę tak, że trzeba po nich iść chyłkiem, a gdy się z góry schodzi, to ma się przed sobą głęboko w dole położone dachy 8—10-piętrowych kamienic.

Wiele widziałam miast i dzielnic wielkich, sięgających swoim początkiem starożytności i ślady jej na sobie noszących; ale żadne miasto według mnie nie ma takiej powagi wieków, a z drugiej strony takiego wdzięku i żywotności chwili obecnej, jak Edinburg.

Najpiękniejsza i najbogatsza ulica, Princess-street, przecina stolicę szkocką na dwie części i dzieli ją na stare i nowe miasto. Właściciel możeby ją wziąć za wawóz dwóch pagórków; samo dno tego wąwozu zajmuje śliczny spacerowy, długo ciągnący się ogród, przez który przechodzi kolej żelazna. Prawy teras nazwano ulicą „Princess”, a lewy „Market-street”. Koniec tej ostatniej wieńczy zamek wspaniały królów szkockich, nazwany „Castle of Edinburgh”, dziś już tylko pomnik historyczny, a rozsiadły na samym szczycie i przyglądający się z dumą murowanej swej gwardyi. Bo też rzeczywiście gmachy są odurzająco wysokie, ale proporcjonalne i pięknej struktury. Jeden szczególnie, wzniesiony na pochyłości góry, na 12 piątr wysoki, nie licząc sułterren, zdumiewa wogóle wszystkich cudzoziemców.

Market-street ze swoim zamkiem, to front starego miasta, które uprzejmie powyciągało, jakby ramiona, długie swoje żelazne mosty ku nowemu. Cała stara dzielnica miasta, z surowością i powagą swoją, wobec czystej, jasnej, uśmiechającej się dzielnicy nowożytniej, przypomina surową matronę wobec hożej, do życia, do świata rwącej się dziewczyny. Princess-street odznacza się pięknem budownictwem nowożytnem, bogactwem sklepów, miłą czystością murów i pompatycznymi pomnikami, które Szkotowie hojnie powznosili najbliższym swym ziomkom.

„Princess-street”, biegnąc w przeciwnym kierunku niż „Market-street”, przysiadła do stóp drugiego zamku „Queen Mary of Scotland”, inaczej „Holy Rood Castle”, w którym niegdys Marya Szkocka, ostatnia, nieszczęśliwa królowa, mieszkała, a w którym po niej monarchowie angielscy, odwiedzając Edinburg, goszczą i balują.

Kościóły tutejsze strzelają ku niebu wysokimi wieżami i użyczają miastu niezwyklego uroku. Świątynie protestanckie są bogatsze, ozdobniejsze i wspanialsze struktury nazewnatr, ale także i katolickie kościoły Edinburga nie mają już charakteru owych przypominających katakumby podziemnych sklepów, w których wyznawie przesładowane korzystając z łaski prześladowcy, trwożliwie kryć się musiało. Nie, tutaj katolickie kościoły cieszą się zupełnym obywatelstwem; ludzie do nich wchodzi i wychodzą z nich śmiało, bez obawy nielaski w oczach mieszkańców innych prze-

konan; czują się tak dobrze na swoim gruncie, jak i protestanci. Wogóle niechęć, panująca ku katolicyzmowi rzymskiemu w Anglii, tu nie ma odbicia; tolerancya nakazuje jednakową dla wszystkich uprzejmość. Pobyt mój w Edinburgu jest zakrótkim, abym mogła wyrozumieć dobrze przyczynę odrębnego charakteru życia Szkotów, od życia Anglików; przecież sądząc po tem, jak się przedstawia na oko lud szkocki, wnoszę, że inna tu, a inna tam panować musi zasada rozumowa, inny też ów ślepy, bezwiedny rozpęd do życia. Widocznie lud zachował swoje narodowe piętno, rozumie, że jest równouprawniony z Anglikami i jak oni czuje się wolnym. Widzi się to w gwarnym ruchu mieszkańców, snujących się po ulicach, w wesołych i żywych twarzach, w pewnej i dumnej postawie przechodniów. Ile razy mowa była o Szkotach w Anglii, odzywano się zawsze o nich przyjaźnie i z uszanowaniem pewnem; różnice pojęć politycznych zatęrzyły się zupełnie i Anglia ze Szkocyą zlała się w jedną nierozzerwaną całość, w jedną monarchię i jeden politycznie uważany lud; kiedy przeciwnie, w Irlandyi zawsze duch niezadowolenia panuje i podnosi się, jak i obecnie, od dwóch lat, już mamy tak żywe dowody. W Anglii, oile powszechną jest przyjaźń dla Szkotów, o tyle niechęć i wzgarda dla Irlandczyków ogarnęła, nie tylko owczym pędem idący ogół, t. j. masę ludu nierozumującą, ale i wybitne, nad poziom ludu wystające jednostki. Angliacy a z nimi i Szkoci, choć ci ostatni są łaskawsi nieco, nie zdają się przyznawać Irlandczykom żadnego dobrego przymiotu, żadnego dobrego prawa, żadnej uczciwej dążności, i otaczają ich nieufnością, gniewem, lekceważeniem, szyderstwem. Bogaci właściciele dóbr w Irlandyi, będący przeważnie, a nawet prawie wyłącznie, Anglikami, ciągną z ziemi wszelkie możliwe korzyści, a pieniądz ztąd osiągnięty idzie na spekulacje londyńskie, lub życie wygodne poza granicą kraju. W Irlandyi przemieszkują tylko bieda, mająca za źródło utrzymywania własny, lichy zarobek. Takie słyszałam kilkakrotnie powtarzane opinie Anglików w różnych częściach ich własnej ziemi; takie się tu powtarzają i w Szkocyi.

Dzień Nowego Roku i następną Niedzielę zapełniałam, jak mogłam, to czytaniem, to rozmową, to śledzeniem najdrobniejszych zajęć domowych i humoru osób w skład rodziny wchodzących, ażeby ztąd jakieś wnioski wyciągnąć, któreby mogły dostarczyć danych, a raczej materiału na dane, o tym, oddawna dla mnie ciekawym, prawdziwie zajmującym narodzie.

Święta przeszły. Teraz już mogłam liczyć na otwarcie gmachów godnych widzenia. Wysłałam na miasto i udałam się w kierunku poprzednio widzianych dwóch pięknych budynków w stylu greckim z kolumnadą i wystawami na wzór ateńskiego Partenonu. W jednym mieści się Antyquarium i Galeria rzeźb, w drugim Biblioteka Edinburska.

Wszedłszy do Antyquarium, ujrzałam dwie obszerne sale zapełnione szafami nakształt jubilerskich, w których poustawiane są na półkach zabytki i odgrzebaliska różnych kamiennych, glinianych, żelaznych i metalowych naczyń, narzędzi i ozdób starożytnych ludów z czasów przedchrześcijańskich, kiedy-to dopiero wytwarzały się państwa i narody pierwotne tych systematów cywilizacyjnych, które historya dzisiaj naszą, od upadku państwa rzymskiego ciągnącą się, cywilizacyą państwa rzymskiego. Zpomiedzy narodów starożytnych Egipt ma tu zbiór najliczniejszy. Co prawda, wszystkie muzea i zbiory w Anglii obfitują w główny zabytek egipski, mumie. Piękny więc i tutaj był rząd skruszałych resztek ciała, daremnie oczekujących powrotu duszy na tym jeszcze świecie. Mumie w Edinburgu występują w wielkim doborze. Są tu nie tylko ludzie, ale i ibisy, i psy, i koty i krokodyliki młode, i wszystkie bóstwa, jakie tylko dostępowaly zaszczytu balsamowania, mają tu swoje okazy. Antyquarium posiada również suknie i sarkofagi, w które wkładano szczątki umarłych. Są także tabliczki drewniane lub kamienne, które przyczepiano do trumien z napisami wieku, pochodzenia i imienia nieboszczyka. Podobno przeważna liczba napisów ułożona jest w języku greckim, a więc

same mumie do późniejszej należą epoki, choć są i inne, wcześniejsze, z hieroglifami. Mnóstwo urn pogrzebowych, amfor i różnego rodzaju bronzowych bożków i bożyszc, jako amuletów domowych, we wspaniałych salach widzieć można; są pierwowzory wyrobów glinianych greckich, są odłamki rzeźby lub sprzączki do domowego użytku. Z Rzymu, a raczej z obszarów państwa Rzymskiego, znajdują się kamienne i żelazne topory, noże, strzały, tarcze. Mają tu przedstawienictwo swoje Gallowie i Frankowie, Duńczycy i Finnowie, tylko Słowianie wcale nie występują. Uderzają oryginalnością swoją wyroby z ości rybich, służące jako sprzęt kuchenny lub broń. Oczywiście, że w tym pośmiertnym popisie najglówniejszą rolę odgrywają Piktowie, tubylcy szkoccy, jeszcze z czasów poprzedzających zetknięcie się ich z Rzymianami; rysunek okazów należących do tych mieszkańców Kaledonii jest bardzo prostym, surowym, a wykonanie grube, nieokresane. Na uwagę zasługują zabytki Anglo-Saxonów, również dawne, i Irlandczyków prace z epoki kamiennej. Po epokach dawniejszych występują pamiątki z czasów cywilizacji rzymskiej, z początków chrześcijaństwa, a wreszcie z Wieków Średnich.

Przedstawienictwo wygasłego już życia w Antiquarium, zdaniem ludzi, których się zapytywałam o wartość tego muzeum, niedość naukowe i systematyczne, ma jednakże znaczenie poważne: dzięki zebranim tu okazom możemy widzieć potrosze początki każdego prawie narodu. Występują przed nami Hindustańczycy obok Anglików i Szkotów, Egipcjanie obok Finnow i Skandynawów, średniowieczni Eskimosi obok Greków.

Medale przy kamykach i żelazcie, okazy banknotów z rękopismami królów szkockich, kołowrotki z narzędziami tortur w sąsiedztwie — włócznie i strzały różnych, przeróżnych ludów kule i armaty: oto zbiór, z którego utworzywszy sobie pewną systematyczną całość, widzimy się wszyscy w najdoskonalszym braterstwie początków i wzrostu. Indyanin amerykański a Grek albo Rzymianin; mieszkani Polinezyi a Frank albo Saxon: wszyscy oni rodzili się jednakowo niedoświadczni i dopiero dążąc i pnać się coraz wyżej, w miarę wrodzonych zdolności, potrzeb kraju, wpływu klimatu i nacisku sąsiadów, wyrabiali w sobie duchowe, cywilizacyjne potęgi.

Tłum napływający coraz bardziej, wyparował mi z owego cmentarzyska pamiątek; dalsze zwiędanie odłożyć musiałam na później.

Julia Walerya.

DROBNE LISTKI.

Baron Herkulian Dembowski, uczony astronom i sędziwy już starzec, zmarł we Włoszech dnia 19 Stycznia r. b. w 69 roku życia. Pierwsze naukowe prace zmarłego ogłoszone były drukiem w 1857 roku, w Neapolu, w *Memorie della Reale Accademia delle Scienze*, następnie ukazywały się pisane po francuzku w niemieckim piśmie: *Astronomische Nachrichten*. Były to sprawozdania z obserwacji nad gwiazdami podwójnymi, oraz odkrywaniem nowo gwiazdami, a miejscem kędy Dembowski obserwacje te czynił, była dziedziczna jego posiadłość pod Medyolanem, Gallarete, gdzie przeniósł się z Neapolu. W 1859 roku obserwował d. 8 Maja we Florencji, wraz ze zmarłym już dziś astronomem włoskim Donati, zasłonięcie Saturna przez księżyc; wyniki tych wspólnych obserwacji, ogłaszane były przez Dembowskiego w *Astronomische Nachrichten* w Nr 1,199. Pierwsza jego praca w tem piśmie drukowała się w Nr 999, a wiadomość o tem może nie być obo-

jętną dla naszych pracowników na polu astronomiczem, przypuszczając, że ktoś z nich zechciałby wcielić do naukowej naszej literatury tę spuściznę umysłową. Dembowski pisywał do *Astronomische Nachrichten* do Maja 1878 roku. W Lutym tegoż roku *Londyńskie Astronomiczne Towarzystwo* udzieliło mu złoty medal za jego studia nad gwiazdami podwójnymi. Adres *Towarzystwa*, zreformowany przez jego delegata Dra Huggins, mieści, przy wyrazach wysokiego uznania dla długoletniej pracy Dembowskiego, uwagę, że gdyby pisma jego: „wszystkie obserwacje, rozrzucone w siedmdziesięciu numerach *Astronomische Nachrichten* zostały zebrane razem w tom jeden, katalog ten byłby godnym, aby pomieszczono go obok najcenniejszych i najbardziej wyczerpujących katalogów gwiazd podwójnych, jakie posiada nauka“. Mogłoby teraz dokazać tego pióro tłómacza, a przypuścić należy, że wydanie wzięłaby na siebie Akademia Krakowska. *Londyńskie Towarzystwo Astronomiczne* we wspomnieniu pośmiertnym o Dembowskim, pisze, że nauka straciła w nim jednego z wysoce zasłużonych pracowników, „takich, których sława nie jest rozgłosną, ale zasługa wielką bardzo“.

Poemat Modrzejowskiej: *Sen sztukmistrza*, wyszły w przekładzie angielskim, zyskał wielkie pochwały prasy londyńskiej. Wykończający się *Teatr Narodowy* w Pradze zamierza pomieścić między ozdobami murów swoich portret tej artystki.

Ciekawy rysunek sprzedany został temi czasy w Londynie, rysunek podpisany: „Król Ludwik Filip“. W 1845 roku zamówił ten król u malarza Couder, obraz wielkich rozmiarów, do zawieszania w Wersalu, a mający przedstawiać scenę z 1790 r., lecz gdy w czasie roboty odwiedził pracownią malarza, okazał się mało zadowolonym z jego dzieła, a to dla braku prawdy historycznej w szczegółach. — Pamiętam dobrze tę chwilę i ludzi — mówił; że przecież obraz był już bliski ukończenia, wypłacił malarzowi umówioną cenę 25,000 franków, przyczem zaprosił go do siebie na śniadanie, po którym przedstawił mu wykonany kredką rysunek, zapamiętanej sceny, prosząc, aby to był szkic do drugiego obrazu, w tej co poprzedni cenie. Obecnie rysunek sprzedany został również za sumę 25,000 franków.

Il Figliuol Prodigio, nowa, cztero-aktowa opera włoskiego kompozytora Ponchielli, wystawiona w pierwszych dniach Stycznia w Medyolanie, doznała tam niezmiernie przychylnego przyjęcia. *Gazeta Pungolo* pisze: „że był to jeden z najwspanialszych tryumfów, jaki kiedykolwiek odniesiono na klasycznej scenie La Scala. Krytyk nazywa operę „wielkim dziełem muzycznym“ i dodaje, że jest to jedyny przymiotnik, odpowiadający jej szlachetności i wspaniałemu, majestatycznemu charakterowi. Wymienia przytem jako szczególniej piękne i godne uwagi miejsca: serenadę dla tenora, duet soprana z tenorem, i romans dla barytona, oraz finały drugiego i trzeciego aktu. Kompozytor został wywołany zaraz po pierwszym akcie, a powtórzyło się to trzydzieści razy. Między głównymi wykonawcami opery wymieniony jest Reszke, którego nazwisko Włochy piszą „Rezké“. Ewangeliczna legenda, służąca za grunt do libretta, została naturalnie rozszerzoną i ozdobioną, stosownie do wymagań scenicznych. Dekoracje mają być wspaniałe.

La Divina Commedia, stała się w tych czasach przedmiotem szczególnych i dziwnej cierpliwości dowodzących studiów. Niejaki Fillippo Mariotti obliczył, że zawiera ona w sobie 99,542 wyrazów, równo rozdzielonych na jej trzy części: *Inferno*, *Purgatorio*, *Paradiso*. Ponieważ dzieło zawiera 100 pieśni, zatem wypada blisko 1,000 wyrazów na każdą pieśń. Signor Fillippo twierdzi, czego mu zapewne nikt nie zaprzeczy, bo nikt sprawdzać

nie będzie, że Dante użył 5,800 wyrazów, między którymi jest, usuwając powtarzania, 269 przymiotników, 2,637 rzeczowników. 927 przymiotników, 1,725 słów i t. d.

Angielski słownik handlowy Mac Culloch'a podaje w ostatnim a nowem swem wydaniu, że dobry telegrafista zdolny jest wysłać w godzinę 2,000 wyrazów, nie wymieniając przecież w jakich mianowicie okolicznościach dźiać się to może. Dziennik angielski *The Electrician* pisze, powtarzając to za amerykańskimi dziennikami, że w czasie ostatnich wyborów, telegrafem wedle systemu Phillips'a wysłano z Nowego Yorku do Cincinnati w przeciągu pięciu godzin i pięciu minut 16,000 wyrazów, co czyni więcej niż 52 wyrazy na minutę a 3,147 na godzinę. Mowa, którą w ten sposób telegraf przesyłał, trwała przez ciąg trzech godzin minut czterdziestu; telegraf został wprawiony w ruch w kwadrans po jej rozpoczęciu, a w godzinę minut dwadzieścia pięć po jej skończeniu przez mówcę już znajdowała się w całości w drukarni w Cincinnati.

Ambroży Thomas, utalentowany francuzki kompozytor: twórca *Hamleta* i *Snu letniej nocy*, został posunięty na wysoką już między kawalerami Legii Honorowej godność: „Grand Officier“. Król Szwedzki ozdobił go krzyżem komandorskim *Gwiazdy Północnej*. Może wysokie te godności wpłyną na gust publiczności warszawskiej dla jego muzyki.

Edward Bain, pisarz angielski, którego książkę o Wychowaniu zaliczoną do dzieł pedagogicznych wyższego znaczenia i na nasz język przełożoną, został świeżo uszlachconym. Literacki swój zawód rozpoczął on jako reporter przy dzienniku prowincjonalnym: *Leeds Mercury*, którego redaktorem był jego ojciec. Czyżby u nas herb pochlebiał uczonym?

Medal Alberta pierwszej klasy został udzielony przez królową angielską kadetowi marynarki królewskiej, Leedie Tyndal, służącemu na okręcie *Wild Swan*, za szlachetny czyn skoczenia z pomostu w wodę na wybrzeżach Mozambiku, a to w celu ratowania uciekającego niewolnika, pochwyconego przez okrutnego wodnego potwora, haję. Już nieszczęśliwy miał odgryzione i pożarte obie nogi. Trzy inne haje znajdowały się w pobliżu.

Londyńskie Geographical Society odebrało zajmujący list od Oswalda Cattley, piszącego się pierwszym Anglikiem, który zamierza zawiązać stałe handlowe stosunki z Syberyą, a który puścił się obecnie na objechanie zatoki Obi. Pragnie on za nadejściem lata prowadzić przez morze Karyjskie handel z Syberyą.

Historyk Mommsen, którego cenna biblioteka spłonęła niedawno w pożarze jego domu, otrzymał od biblioteki uniwersytetu Oxfordzkiego dary w książkach tak znaczne, że w liście, dziękującym za to nazywa nadesłane mu dzieła „kwiatami i klejnotami“ angielskiej historycznej i archeologicznej literatury i dodaje: „To, com stracił, zostało odzyskane, i dodano mi wiele, czego nie posiadał. Jest to może najlepszą stroną prac naszych (zapewne uczonych) że zawiązują i utrwalają międzynarodowe przyjaźnie“. Rzadko przecież uczeni niemieccy okazują taką bezstronność w kwestjach dotyczących ich uczuć politycznych, aby te wyrazy Mommsena mogły mieć szersze znaczenie, rozciągające się do ogółu jego stosunków z uczonymi.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się początek powieści pod tytułem: *Sługa dzierżawcy*; oraz półarkusz 8-my powieści pod tyt.: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Ja się nie skarzę, (poezya), przez Maryą Konopnicką. — Pogawędka. — Obowiązek, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Prassa w Ameryce, (dalszy ciąg), przez Sygurda Wiśniowskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna, (Edinburg). — Drobnie listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Февраля 1881 года.

SŁUŻĄCA POSSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

Pani Nadleśniczowa umarła przeszło rok temu, a rok to długi kawał czasu dla pamięci tych, którzy w grób się pokładli. Przy tem p. Nadleśniczowa była damą już wiekową i jak ludzie mówili, nie zostawiła żaloby po sobie: nikt w okolicy nie kupił, nie spotrzebował ani ćwierć łokcia krepy i to samotne istnienie byłoby zniknęło ze świata bez śladu, jak zdmuchnięte światło, gdyby nie fakt, że osobistość nieboszczki nosiła na sobie silne piętno oryginalności, a takie rysy nie zacierają się prędko w pamięci ludzkiej. To też ta garstka wiejskiego ludu z Hirschwinkel, którego droga wiodła koło dworu, spoglądała dotąd mimowolnie ku narożnemu oknu pierwszego piętra, żali nie ujrzą tam drobnej, szczupłej twarzy z siwymi loczkami nad czołem i na skroniach, a z okularami na nosie. Na odgłos ich kroków głowa w loczkach obracała się niegdyś coby prędzej, aby wychylić się przez okno, a niechże bystry wzrok, patrzący z nad okularów, dojrzał jaką dziurę na łokciu kobiecego kaftana, jaką plamę na fartuchu, niechże dostrzegł na obliczu czyjem wyraz cierpienia, lub smutku, choćby najeichszego, już go nie omięła tak ostra nagana w pierwszym razie, jak w drugim spotkało zawsze jakieś słowo łagodne i słodko przyjazne.

Ale robotnikom w lesie pracującym, tym, co rąbali siagi, lub smołę pędzili, brakowało niezmiernie p. Nadleśniczowej. Znano tu dobrą starą w siwych loczkach, w czarnym czepeczku, obutą według dawnej mody w wycięte trzewiczki z bandażami, które krzyżowały się na białych jak śnieg pończochach. Nogi były małe jak u dziecka, i dreptała też na nich delikatnie i cicho jak dziewczynka, mając zawsze obok siebie mądrego białego pudła, a na ręku duży zielony worek jedwabny. Worek był zawsze pełny świeżych, aromatycznych ziół, po które p. Nadleśniczowa schylała ustawicznie stare kości; były w nim również rozmaite chirurgiczne narzędzia, flaszki z lekarstwami, plastery i plasterki przeróżne, były nawet duże kawały mydła, bo jak inne dobroczynne osoby gotują dla ubogich ciepłe zupy,

tak ona — p. Nadleśniczowa — kazała u siebie robić w wielkich kotłach mydło dla ubogich. Była też postrachem wszelkich istot zasmolonych, które jej się lekały jak ognia; była przytem lekarzem dla chorych, chirurgiem dla skaleczonych i przypadkowi jakiego nieszczęścia uległym, była w dodatku nieublaganym wrogiem głupstwa, lenistwa, a szczególnie przesądów, kwitających szczęśliwie na starym gruncie Turynii. Tropiła je i wypędzała jak dyabła z opętanych i niech tylko wpadła na domysł, że przy ranach i skaleczeniach udawano się do zamówień, do odczyniań, zmywała ludziom ostro głowy i „notowała to sobie“ jak mówiła.

Umarła śmiercią spokojną i naturalną, z przeziębienia i febry, którą nabyła, zbierając wiosną zioła po górskich wyżynach, na przeciąg wiatru wystawionych. Że przecież od samego początku choroby aż do ostatniej godziny śmierci majaczyła w gorączce, i gadała od rzeczy, wszyscy w koło niej byli najpewniejszymi, że *Zle*, z którym całe życie bój toczyła, przydybało ją na końcu. — Musiała w lesie coś zobaczyć... coś jej *zadano*.

Nie znaleziono w jej papierach żadnego testamentu, więc też doskonale zagospodarowana jej posiadłość: Hirschwinkel, dostawała się w spadku jakiemuś krewnemu, którego żywa dusza tu nie znała i o którym wiedziano to tylko, że ma wielką fabrykę maszyn pod Berlinem. A zdawało się że nowy dziedzic nie sobie nie robi ze spadku na niego fortuny, na której sam siedzieć i rządzić nią nie mógł. Więc też wydzierzał w wszystko jak stało; dzierżawca zajmował dół, a na pierwszym piętrze dworu myszy mogły się spokojnie legnąć, a pajaki praść swoje szkaradne siatki, jak mówiła z pogardą p. dzierżawczyni, która nie tylko sama dostać się tam nie mogła, ale nawet błogosławione jej miotły i szczotki przystępu tu nie znajdowały.

W wysoko położone części Turynskiego lasu uprawa zbożowa nie szczególnie się udaje i gospodarstwo opiera się głównie na kartoflach i pastwiskach. Wąskie, głębokie dolinki ciągnęły

się nieraz dłużej niż godzinę drogi między lesistymi górami, jak aksamitne pasy zielone; trawa, błyszczące stawki, czasem bystry, chłodny strumień zarybiony pstrągami, wreszcie gładki, biały gościniec żwirówki, zmieniają się nawzajem przed wzrokiem podróżnego, który by chciał ciekawie przegłędać tę górską krainę. Hirschwinkel był to szczególnie słoneczny, zaciśniony kąciek lasu, rodzaj wyspy, gdzie wiatr letni wesoło wzruszał fale tak wysokiego żyta, że człowiek mógł by się w nim schować, i chylił złote łany szlachetnej pszenicy. A piękna ta majętność leżała nieco na uboczu od głównego traktu, zasłonięta zielonym pasem lasu, to też nie było w tem nic dziwnego, że podróżny, który z gościńca na bok się wziął, szedł był lasem dobrą godzinę czasu, zatrzymał się przy spotkaniu źródła, aby się pokrzepić na dalszą i jak przypuszczał z gęstości lasu dłuższą, niż dotychczasową drogę. Źródło wytryskało z pomiędzy obnażonych korzeni krzywej wierzy, rosnącej na pochyłym urwisku zarosłej wyżyny; woda była zimna, jak lód i wybornego smaku, to też srebrny kubeczek podróżnego został dwukrotnie wychylony i odchodząc dalej obejrzał się jeszcze, jakgdyby z wdzięcznością, na dobroczynną niteczkę wody, która go pokrzepiła. A był to młody jeszcze panicz, przez plecy miał przewieszoną skórzaną torebkę, przez lewe ramie pleć, zresztą ubrany w lekki, a elegancki ubiór podróżny, jasno szaraczkowy, wyglądał jakgdyby szedł sobie spacerem. Cały zajęty pięknością leśnego krajobrazu, wysmukły i przystojny, dobrze na tle jego odbijał, gdy zapuścił się w boczną drożynę, która jakgdyby przebojem wycięta srodkiem potężnych buków, wiodła między kolumnami ich pni.

Dotychczas samotny wędrowiec nie spotkał, ani żywej duszy. Patrzał jak wiewiórki przeskakiwały z gałęzi na gałąz, jak zielone chorągiewki paproci po bokach drogi drżały, gdy spodem wśród leśnego zieleń przesuwawało się jakie spłoszone stworzonko, mieszkające wśród świata tej bujnej roślinności, która wdzierała się nawet na zakazany

dla niej grunt drożki, jakkolwiek jeżdżono już tędy. Przewiewał lekki wietrzyk, niosąc ze sobą z głębi gestwin aromatyczną woń poziomek; czasem był to apetyczny zapach pieczonych kartofli, a towarzyszył temu daleki odgłos rąbiącej drzewo siekiery; od kwadransa zaś podróżny słyszał po prawej swojej strony szmer niewidzialnej wodocięcy, która musiała płynąć w kierunku jego drogi. Aż wreszcie z tej właśnie strony przeredzila się gąszcz leśna, ukazując w słońcu skąpaną równinę zielonych łąk; bystry strumień przerzynał je środkiem i pędził między zielonemi brzegami pod koła tartaku. Była to ujęta w ciemne ramy lasu słiczna sielanka; wążka kładka, rzucona przez wodę, tworzyła pierwotny most, przez którego nie spojone ze sobą deski, można było widzieć błyszczącą pod nogami idącego wodę.

On zwolnił kroku. Wszedł na kładkę, aby się przypatrzeć lepiej wdzięcznemu krajobrazowi, ale nie znał się z zasadzkami takich wiejskich mostów i kiedy wypuścił spojrzenie w dal, zwróciwszy oczy na tartaczek, noga zaś tak mu wpadła po za kostkę, że było niepodobniństwem bez nadwężenia jej usiąść, i wyciągnąć ją wtedy. Rozdrażniony i gniewny niezmiernie musiał stać, do miejsca przykuty; oglądał się tylko czy mu zmiłowanie Boże jakiej pomocnej ręki nie zesle? Ale w samotnej dolinie mógł na to czekać dobry kawał czasu.

Zaklął i z oznakami najwyższej niecierpliwości usiłował nogę z niespodziewanej uwięzi wyciągnąć, ale daremnie. Mostek nie miał poręczy, a on kija podróżnego, o który mógł by się przy tym ruchu oprzeć; noga zaś tak mu wpadła po za kostkę, że było niepodobniństwem bez nadwężenia jej usiąść, i wyciągnąć ją wtedy. Rozdrażniony i gniewny niezmiernie musiał stać, do miejsca przykuty; oglądał się tylko czy mu zmiłowanie Boże jakiej pomocnej ręki nie zesle? Ale w samotnej dolinie mógł na to czekać dobry kawał czasu.

Lecz właśnie w tej samej chwili kobieca postać ukazała się z po za tartaka i szła prosto ku mostkowi, niosąc na głowie dużą wiązkę trawy, którą podniesione w górę obie ręce w równowadze utrzymywały. Była to, jak pokazywała odzież, prosta wiejska dziewczyna, młoda i słusznego wzrostu, pewno dziewczka służąca. Zlekła się widać obcego pana na mostku, bo mając już nań wstąpić, powstrzymała dotychczas szybki krok i stanęła w miejscu.

— Hej! dziewczę... zawołał — chodź no sam... Głos mu brzmiał niecierpliwie, ale ona ani się ruszyła.

Mruknął coś między zębami o bezdusznej głupocie chłopstwa i raz jeszcze spróbował wyciągnąć nogę z pod dyla. Teraz dziewczyna poznała, że to nie żadna straszna osobistość, ale przeciwnie ktoś, potrzebujący pomocy i natychmiast weszła na mostek.

— A przekonałaś się na koniec, że nie jestem ludożercą — rzekł podróżny, jeszcze mrukliwie i nie spojrzawszy uważniej na dziewczynę. — Stań no tu, tu oto, tuż przedemną. Chwyć się ciebie obu rękami, wesprę na ramionach i wyciągnę nogę z dziury.

Usłuchała go, nie rzekłszy ani słowa; stanęła przed nim, przecież w chwili, gdy ucuła obie jego ręce na swojej szyi, opuściła tak w ten moment trawę, że między jego a jej głową, znalazł się nagle mur zielony. — Śmieszna rzecz: wiejska dziewczka była skromnisią...

On więc musiał ręce opuścić, ale go to zabawiło. — Cóżto? nie możesz trawy utrzymać? zapytał wesoło.

— Nie — odparła — sprawiedliwie, że nie... A trawca i jego parobka nie ma w domu, nie wrócił, aż samym wieczorem; trawca zaś jest niemoćna i właśnie teraz chora.

— A to pięknie... jeżeli więc nie będziesz chciała mi pomóc, będę tu skwierczał uwięziony, jak lis w pułapce.

I wysoki panicz schylił się teraz, aby zajrzeć w oczy dziewczynie, która zasłoniła się od słońca, białą kartonową chustką. Zrobiła z niej sobie jak daszek od czapki, a raczej dach ogromny, który występując daleko po za czoło, opuszczał się potem załamując aż za oczy; że zaś chustka była

pod brodą związana, cała dolna część oblicza gineła w fałdach i nie można było nie prawie widzieć twarzy. Brzydka, czy ładna? było zatem zagadką.

— Ej dla Boga, moja skromna i niewidzialna panno — odezwał się podróżny z powstrzymywanym śmiechem — miejże litość nademną! Pomyśl że jesteś w tej chwili siostrą miłosierdzia i przez chrześcijańską miłość bliźniego pozwól się wzięść za szyję...

Nie odpowiedziała nic, ale się przybliżyła znów do niego. Lewą ręką oparła się o biodro, aby stać mocniej, a prawą przytrzymała trawę nad głową. Była to słusna, wysmukła, kształtnie zbudowana dziewczyna i w tej postawie stała mocno, jak mur, a raczej jak posąg, gdy on obie ręce położywszy jej na ramionach, oparł się na niej całą siłą i próbował nogę wyrwać. Słyszała jak syknął, nawet raz jęknął, potem zaklął zeicha, aż naraz szarpnął z całych sił i odskoczył szczęśliwie w tył na środek mostku. Parę razy tupnął w dyle, aby się przekonać, że wyzwolona noga uszkodzoną nie została. Tymczasem dziewczyna podniosła obie ręce do góry i trzymając niemi swój pęk trawy, poszła swoją drogą.

— Stój — zawołał podróżny — stój, tylko słówko.

— Nie mam czasu — odparła dziewczyna. — Ryba mi się zmarnuje.

Odrwała się do niego pół ciałem i pokazała mu, prawie ramie wzruszywszy, że ma tam uwieszoną sieć z żywym pstrągiem. Szła potem dalej.

— Czy ta rybezyna nie da się zastąpić nieczem innym? Co...

— Niczem...

— Ejże. — Ale moje podziękowanie...

— Obejdzie się bez niego. Schowaj je pan na inny raz dla kogo innego.

— O, widzę moja piękna, że lubisz się krótko z ludźmi załatwiać — zaśmiał się panicz i chowając do kieszonki żakiety fularową chustkę, którą sobie z ubrania wodę i resztki wierzbowej kory ocierał, poskoczył za nią.

— Pod tą szkaradną białą chustką musi się chować bardzo uparcie wyglądająca buzia — rzekł idąc obok niej. — Ale cóż będzie, jeżeli i ja jestem takim kozłem jak ty, i nie dam sobie mojego podziękowania darować?

— To wróć pan na mostek i wsadź znów nogę między dyle...

On się rozśmiał i chciał z rzeczywistym uporem pod chustkę jej zajrzeć. Ale dziewczyna nie dała się zwyciężyć. Niewątpliwie nie było w niej, „bezdusznej chłopskiej głupoty“ i tak zręcznie, a prędko umiała główkę wykręcić, że nie nie zobaczył i tylko się jej wdzięcznej postawie, jej szykownej kibici mógł przyjrzeć. Była ubrana ubogo. U sznurowanego kabata nie było rękawów; wypruto je widać, gdy się zniszczyły i zastępowały je teraz białe, bufiaste rękawy od koszuli, spadające aż do łokci. Przewiązała się na krzyż, w tyle za plecami związaną na rogi kolorową chustką bawełnianą, ale już znacznie spłowiałą, a krochmalny i fałdzisty fartuch szafirowy, związany wysoko, psuł efekt kształtnej wysmukłości. Kabat, a raczej suknia, choć była bez rękawów i zdegradowana do roboty w polu, okazywała jeszcze wytworniejszy kraj miejski i pochodziła niewątpliwie z garderoby pańskiej pokojówki.

— Niech że ci za twoją przysługę dobrego Samarytanina, choć rękę uściśnę — mówił podróżny.

I w tej chwili, ściągawszy prędko rękawiczkę z prawej, białej i pięknej, choć męzko silnej ręki z pieczeniem na palcu, wyciągnął ją ku górze, ku ręce dziewczyny.

— Moja ręka twarda jest, nie do uściśków — odpowiedziała, i w tym samym momencie ręką, u której wisiała siatka z rybą, spuściła się i schowała, skryta aż po łokieć pod fałdy fartucha.

— Powinieniem był naprzód o tem wiedzieć, że Turyngskie ostry koła, gdy je kto dotknie i głaskać ich niema co — rzekł podróżny. Był prawie zły. Czy służysz tam w tartaku? zapytał.

Chwile nie odpowiadała nic, ale potem odrzekła. — U trawców dziewczki nie ma; trawca sa-

ma sobie służy, bo dzierżawią tylko tartak, który należy do wioski Hirschwinkel.

I szła dalej, kroku przyspieszając, a prosta zaw sze jak sosna i trawę na głowie w niezmiernie wdzięczny sposób trzymając. Wyprzedzała podróżnego, pokazując mu w ten sposób, że sobie dłuższej rozmowy nie życzy.

Ale ta „chłopska“ niegrzeczność już go znów bawiła tylko, bawiła niezmiernie. Nie dał się też w tyle zostawić i kroku jej dotrzymywał. — A... a... rzekł po chwili, równo z nią i tuż obok idąc — wiem już teraz z kąd jesteś? Tą drogą idzie się właśnie do dworu w Hirschwinkel.

— Idzie się też tędy i na folwark.

On przystanął. — Na folwark? zapytał, ale znać natychmiast przypomniał sobie, o czym mu mówi. — A wiem — rzekł. Folwark, to ten mały przysiółek, też do Hirschwinkel należący, jak tartak, a na którym przekłety jego p. possessor siedzi sobie bezprawnie, grosza nikomu nie placąc...

Teraz głowa pod pękiem trawy szybko się ku niemu obróciła i jak gdyby dumnie podniosła, to też bródka dziewczęcia wysunęła się nagle z białych fałdów i podróżny ujrzał małe, słiczne usteczka, ale surowo ścisnięte i ledwo że blade różowe: widocznie zbladły z gniewu.

— Jestem z folwarku, jestem od possesora... ozwała się krótko.

Biedne stworzenie; „dziewka od possesora“ zdawała się w dumie swojej, w swojej godności obrażoną i nie omieszczała tego okazać!

— A... do tysiąca kaduków! zawołał wesoło podróżny — tom cię widzę obraził... Twój pan, to wielki pan...

Mileczała.

On się zaśmiał. — Jesteś nielada jaką osobką, służysz u p. possesora, czy wiesz przecież, że dla tego właśnie mam nad tobą moc.

Ona cofnęła się w tył.

— Tak i powiadam ci to nie żartem: mam nad tobą moc... Mógł bym ci bez ceremonii zdjąć z głowy tę wszystką trawę, i w dodatku zatrzymać jako fant tę chustkę białą, w którą się chowasz, póki byś mi nie dowiodła, jakie to prawo ma twój pan do tej łąki, na której tej trawy nasiekłaś? No, cóż ty na to? Twój pan siedzi na cudzym gruncie i korzyści z niego ciągnie, nie nie placąc i choć mu już rok blisko wymówiono dzierżawę.

Dziewczyna stała z początku jak niema, nie mogła widać słowa przemówić, lecz po chwili ozwała się zeicha.

— Czy pan jest nowym, to jest terazniejszym dziedzicem?...

— Tak, jestem terazniejszym dziedzicem i widzisz, że ci trzeba być dla mnie grzeczną: trzeba ci być uprzejmą...

— Ja... dla pana grzeczną...

Niewysłowiony gniew, niewypowiedziane wzruszenie zdawało się ją wskrosz przenikać.

— Nie alteruj się tak bardzo — zaśmiał się. — Nie jestem taki zły, jak się zdaje, przeciwnie. Nie żądam wcale od ciebie, aby zmieknęła ci nagle ta ręka, która dla mnie przed chwilą za twarda była do podania i już bym jej teraz nie wziął, choćbyś ja nie wiem jak wyciągała, ale zawsze musisz być teraz obyczajniejszą, jak byłaś dotąd.

— Pan jesteś wróg biednych ludzi...

— Ja... wróg?... Ale dobrze mówisz: jestem rzeczywiście wrogiem takich graczy i utracyszów jak twój p. possessor.

Cos, jak westchnienie, ozwało się cichutko pod białą chustką. — I cóż pan zrobisz? zapytał głos widocznie bardzo lekliwy i siłą powstrzymujący drżenie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

XXII.

Newgate.

Odpowiedź rady regencyjnej była odmowną. Nie chciano układać się z buntownikiem, ze zbrojca.

Tankred, przynosząc tę znieważającą odpowiedź pod Dąb Królewski, usiłował złagodzić ją w wyrażeniu, nie mniej gniew Jakóba był straszliwy. — Chęć wojny! — zawołał namiętnie — chęć wojny! Dobrze więc... będą ją mieli!... Nasze ostatnie klęski: zniszczenie floty bawarskiej, opóźnianie się Francuzów, cierpienia naszych miasteczek i wiosek, wydanych na łup wyuzdanego żołdactwa, wreszcie moje własne niepokoje — zachwiały mą odwagę. A jeżeli się myślę — rzekłem sam do siebie — jeżeli sam Bóg nie chce, abyśmy odzyskali wolność?... I zwątpiwszy na chwilę, ofiarowałem im pokój... chciałem sam umrzeć! Nie przyjęli! Biada im! Chwycę znów oręż i będę walczył aż do końca, aż do ostatniej kropli krwi. Mam prawo do tego!

Poczem zawoławszy Unkasa, który na głos swego pana zdawało się, że zjawił się z pod ziemi — mówił dalej:

— I ten nieszczęśliwy ma również prawo do tego. Rodzina jego, całe pokolenie, kobiety, dzieci, wszyscy, wszyscy zostali wymordowani! Dwieście, wszak prawda, dwieście trupów?

Indyanin rozumiał, lecz nie mógł odpowiedzieć inaczej, jak belkotaniem dzikiem i chrapliwym.

Z błyszczącymi nienawiścią oczyma, szeroko otworzywszy usta, pokazał ucięty język.

— To także uczynili Anglicy — wytłumaczył Jakób. Porzucili go na drodze, sądząc że już umarł. Znalazłem go i wyleczyłem. Ztąd jego wdzięczność i ślepe poświęcenie dla mnie. Gdy mu powiedziałem, że mam zamiar powrócić do Europy, płakał. — Dokąd udajesz się? — zapytały mnie jego oczy. A gdy wyjaśniłem, że wracam do rodzinnego kraju, aby go wyjarznić z pod ciemięzców, którymi są także Anglicy. Weź mnie ze sobą — błagał — będziemy się mścić razem!

Namiętni ruchy i coraz wzrastającym uniesieniem Unkas potwierdzał opowiadanie, wreszcie przypadłszy do rąk swego pana ucałował je z zapalem.

— Tak się cieszył, gdyśmy się puscili w podróż do Europy — mówił dalej Jakób wzruszony. — Dla tych biednych ludów, których jest synem świętem prawem stała się zemsta, trwająca do dziesiątego pokolenia. Oko za oko, ząb za ząb — woła Indyanin, który widział całe pokolenia braci swych wymordowane. Unkas poprzysiął też ciemiom swych rodaków ofiarę dwustu czaszek Angielskich. Nie trać odwagi przyjacielu — dodał Jakób z dzikiem też uniesieniem, złożysz je na ich groby. Nie zawrzemy pokoju; teraz dopiero rozpocznie się bój, który będzie walką na śmierć i życie!

Indyanin wydał przeraźliwy krzyk, zapewne hasło wojenne.

— Jakobie — rzekł Tankred surowo — zapominasz o Fitz-Geraldzie — taki stan rzeczy pewno mu nie pomoże...

Na wspomnienie Edwarda Jakób spuścił głowę. — O pamiętam — odparł — pamiętam o nim nie-

tylko tak, jak brat kochający pamięta o bracie, ale tak jak syn tej ziemi pamięta o najszlachetniejszym z jej obrońców. Poczekam też... Proces prawdopodobnie rozpocznie się wkrótce. Jeżeli, wicehrabio, będziesz mógł zobaczyć się z lordem Edwardem, powiedz mu, aby był gotowym na wszelki wypadek. W dniu, w którym wyrok zapadnie, jeżeli będzie to wyrok śmierci, jak niestety, prze-czuwam — usłyszą hasło moje: Eryn go brach! Uderzymy na więzienie.

Nadaremnie Gaillefontaine usiłował przekonać go o bezsilności tego rozpaczego zamiaru, który w żadnym razie nie mógł się powieść.

— Mniejsza o to! — zawołał Dzikie Ir. — Ponieważ oskarżają mnie, że go zgubiłem, to przynajmniej umrzemy razem!

I groźny, jak lew podrażniony, powrócił do lasu.

Wicehrabia sam i głęboko zamysłony skierował się drogą ku miastu.

Przeszło od sześciu miesięcy przebywając w Irlandyi, dostatecznie już ocenił energią i wytrwałością jej oporu, niewątpliwie uzasadnionego, bo wszakże ten naród, który chciano pogrzebać w mogile, żył jeszcze: żył i kochał tę przeszłość, którą usiłowano mu wydrzeć. Tankred przypominał sobie teraz ostatnie słowa umierającego Hochy. Bohater ten, który był razem statystą, niezachwianie wierzył w możność oswobodzenia Irlandyi. Gdyby nie burza w zatoce Bantry, może byłby urzeczywistnił swą myśl szlachetną. Wreszcie przykład Ameryki zachęcał. Czyż ona nie zrzuciła jarzma przy pomocy Francuzów? Wszakże Irlandya, kraj bratni, znajdowała się bliżej. Dla czegoż więc ta zwłoka, ta zwłoka tak długa? Czyż posiłki Francyi przybędą jeszcze na czas?

Tak rozmyślając przybył Tankred do bram Dublina.

Zachodzące słońce rzucając na miasto złociste blaski, odbijało się w szybach okien płomienistą łuną. Był to jakgdyby obraz pożaru, który może wkrótce wybuchnie wśród tych murów.

Gaillefontaine złożył sprawozdanie ze swego poselstwa, lecz ani nie wspomniał o popędliwych groźbach Dzikiego Ira.

— Niepokoi mnie to tylko — odezwał się Reginald — czy będzie mógł oddalić się w kryjówkę swoje zdrowie i cały. Niech go pochwycą później — to dobrze, ale nie teraz. O! przez Boga nie teraz, bo by oskarżono nas o zdradę.

Po chwili milczenia dodał:

— Przybył kurier z Londynu z ważnymi depeszami od gabinetu. Pitt objawił wreszcie swą wolę.

— I cóż?

— Nakazał, aby nie wstrzymywano biegu sprawiedliwości.

— A zatem proces musi zostać wytoczony?

— Tak jest. Na przyszły miesiąc rozpoczyna się posiedzenia Sądu.

Zdawało się, że syn wicekróla nie był przerażony tem postanowieniem. Widząc zadziwienie Tankreda, narzeczony Łucyi wyjaśnił mu przyczynę swego spokoju:

— Otrzymałem list od księcia Walii, który zaszczyca mnie swą przyjaźnią. Otóż przyrzekł mi w nim, że w ostatniej chwili wda się osobiście w tę sprawę. Znaczy to prawie niezawodne ułaskawienie Edwarda.

Szcześliwa ta wiadomość była już znaną w pałacu Leinster.

Nazajutrz dwaj młodzi panowie spotkali się tam ze sobą.

W wielkich smutkach najdrobniejszy polysk nadziei zdaje się jutrzeńką szczęścia. Księżna, Pamela, obie panny były prawie wesołemi.

— Och, gdyby mój biedny syn — odezwała się matka Edwarda — miał więcej takich przyjaciół, jak panowie...

— Ma jeszcze trzeciego — przerwał jej Reginald — ma przyjaciela, który chciał dlań uczynić o wiele więcej niż ja i wicehrabia.

— Kto to jest?... Co chciał zrobić?

— Ów trzeci przyjaciel za uwolnienie twego syna!

pani, oddawał własne życie. Czyż zatem może być wyższe poświęcenie, wyższa szlachetność? Należy oddawać sprawiedliwość nawet tym, których nienawidzimy.

— Jak to, półkowniku — odezwała się księżna — nienawidzisz człowieka, który tak gorąco kocha brata Łucyi! Ale ktoż to jest?

— Jest to owa tajemnicza, nieubłagana, niedosięgnięta istota, którą nazywają Dzikim Irem.

Na twarzy księżnej ukazał się wyraz pogardy. Ani domyślała się nawet, że to Jakób nosił ten przydomek, w jej oczach hańbiący.

Leez trzy inne kobiety wiedziały o tem. Wyraz wdzięczności zabłysnął na licu Pamel, Kornelia wzniosła ku niebu swe wielkie czarne oczy, u Łucyi przemagała ciekawość dowiedzenia się o całym zdarzeniu.

— Opowiedz to nam, sir Reginaldzie — prosiła.

Syn wicekróla zwrócił się do Tankreda, jak gdyby chcąc mu oddać pierwszeństwo.

— O nie — odparł wicehrabia — w całym tem zdarzeniu sir Reginald okazał tyle szlachetności, że on jeden ma prawo, do opowiedzenia tego paniom. Ja zresztą byłem jedynie twym towarzyszem, półkowniku. Mów więc sam.

Reginald opisał fakt, jak miał miejsce, bez żadnych uwag, dopiero gdy skończył, Gaillefontaine dodał kilka słów od siebie. Uważał to za cnotę w sir Reginaldzie, że nie nadużył położenia i nie pochwycił wroga Anglii w moc swoją.

— Ja! zawołał wtedy syn wicekróla — ja miałbym to uczynić? Czulem cześć dla szlachetności, bohaterstwa i godności tego człowieka!

— Och! — zawołała Łucya — nie zapomnij pan tego wrażenia w razie, gdyby ten nieszczęśliwy dostał się w twoje ręce.

— Jestem wojskowym — odparł sir Reginald ze smutną powagą — muszę przedewszystkiem czynić to, co mi nakazuje obowiązek. Ale w każdej chwili pamiętam to niezachwianie, że ci nieszczęśliwi szaleńcy, z którymi walczę, to twoi ziomkowie pani.

Łucya wzruszona wyciągnęła ku niemu obie ręce.

Reginald ucałował je z głębokim uczuciem. Upojony szczęściem oddalił się, uciekł, lecz zanim odszedł, zwrócił ku Tankredowi pełne wdzięczności spojrzenie.

Gaillefontaine pożegnał się z kolei.

— Nie traćcie panie nadziei — odezwał się i on wzruszony. — Jak widzicie, wszyscy przyjaciele lorda Edwarda pracują dla ocalenia go. Sir Reginald liczy na pokój i łagodność rządu, wiem, że nie zasypiają i inni, tylko ja jeden, lubo szczerzy przyjaciel, nie dotąd nie uczyniłem. Jednakże znalazłem adwokata, który jak sądzę, jest genialnym człowiekiem i który dokaże cudów przy obrobie naszego ukochanego więźnia.

Tankred mówił o O'Connellu, którego odszukał, aby zaproponować mu obronę Fitz-Geralda.

O'Connell zajmował bardzo skromne pomieszkowanie, niedaleko Pałacu Sprawiedliwości. Umeblowanie proste i noszące jakiś charakter klasztorny, przekonywało o ubóstwie. Jakkolwiek młody prawnik już od kilku miesięcy rozpoczął swój zawód adwokacki, dotąd przecież nie powierzono mu żadnej jeszcze sprawy.

— Oh! dobrze — zawołał on z radosnym zapalem po wysłuchaniu Tankreda. — Szanuję i kocham lorda Edwarda. Jest on duszą Irlandyi!

Po chwili dodał ze spokojniejszą razwągą:

— Idzie tylko o to, czy nieszczęśliwy obrał właściwą drogą czynu. Otóż, sądzę, że nie. Wiesz pan, że stanowczo potępiam odwołanie się do siły brutalnej, lecz niezachwianie wierzę w ostateczne zwycięstwo prawa, sprawiedliwości i wolności. Bronię Fitz-Geralda, jest to bronić nieszczęśliwą mą ojczyznę, jeżeli więc zechce powierzyć mi swą sprawę, jestem na jego rozkazy.

— Mam nadzieję, że wkrótce go zobaczę — rzekł wicehrabia.

Długo trwające śledztwo rozgałęzionego spisku ukończyło się właśnie, nie zachodziła więc potrzeba odosobniania więźniów.

Reginald bez trudności otrzymał dla Tankreda

pozwolenie do odwiedzenia Fitz-Geralda w Newgate.

— Zobacz go wicehrabio, naprzód — rzekł do niego.

— Nie śmiem wyznać przed matką, żoną i siostrą, że je zwodziłem...

Słowa te jeszcze powiększyły niepokój i niecierpliwość wicehrabiego. Przecież w oznaczonej godzinie prawie brakowało mu odwagi.

Dublin, tak samo jak Londyn, ma swoje Newgate. Jest to starożytne i ponure więzienie stanu, stykające się z pałacem wicekróla. Wiąza się z niem wszelkiego rodzaju krwawe tradycje. Iluż to nieszczęśliwych, to winowajców, to ofiar, zawleczono ztąd wprost na rusztowanie! Najwłaściwszym napisem na tych murach były by owe słowa Danta: Wejście, potępienie: tu już niema nadziei!

Po przebyciu żelaznych krat, i kilku podwórz, strażnik prowadzący wicehrabiego wprowadził go na długi korytarz, na końcu którego otworzył ciężkie, mocno okute drzwi.

Stanowiły wejście do celi Edwarda.

Spał on okryty szerokim płaszczem szkockim.

Hałas otwierania zamku przebudził go i podniósł się żywo.

Oświecał go promień słońca, dochodzący z okienka z góry.

Tankred ujrzawszy go nie zdołał powstrzymać okrzyku zadziwienia i bólesci.

XXIII.

Dwaj więźniowie.

Upłynęło zaledwie sześć miesięcy od czasu, gdy wicehrabia w rozkosznym ogrodzie dworu Kildare widział Fitz-Geralda, w całej sile męskiego wieku, używającego szczęścia w gronie ukochanej rodziny.

Cóż za niepojęta zmiana! Zaledwie mógł go poznać!

Blady i wychudzony, Edward wydawał się teraz widmem. Ogień gorączki palił się w zapadłych oczach. Włosy i broda osiwały. Reginald powiedział prawdę: więzienie zabijało go. Uczyniło go już starszym najmniej o 20 lat.

Jednak Gailfontaine poskoczył ku niemu. Zbyt wzruszony aby zdołał przemówić, pochwycił go tylko w objęcia i ucałował z tklivością.

Więzień nagle przebudzony i nie przywykły do odwiedzin, nie pojmował jeszcze, co mu przerażało sen.

— Ach! — szepnął z bolesnym drżeniem w głosie — uraziłeś mnie pan!

Płaszcz, który w tej chwili zsunął się z jego ramion, odkrył obandażowane ramię.

— Jak to — zawołał Tankred — ta rana dotąd jeszcze nie zagojona?

— Och! nie ona to dokucza najmocniej — odparł Edward.

Poczem nagle przetrząsł ręką oczy, zawołał:

— Ależ tak... to nie jest marzenie... poznaję pana. To ty wicehrabio!

Zdawało by się, że się teraz dopiero przebudził. Oczy zabłyśły, usta uśmiechały się, cała jego istota promieniała radością.

Poczem gdy Gailfontaine zapewnił go o swej serdecznej przyjaźni — rzekł.

— Więc jednak tam na świecie nie zapomniano o mnie?

— Ani na chwilę! — zawołał Tankred z pośpiechem. — Pamela, Lucy i matka pana, wszyscy tę-

skniliśmy, z niecierpliwością oczekując na chwilę, w której wreszcie odzyskamy cię.

— A dzieci moje? Och, mów mi pan o nich! — wyjął stłumionym głosem, lży go dusiły.

Wicehrabia musiał mu opowiedzieć wszystko, co się zdarzyło od czasu jego uwięzienia.

Gdy usłyszał, jak serdecznie księżna przyjęła synową i wnuczkę, rozczulenie Edwarda doszło do najwyższego stopnia.

— Wiedziałem już — mówił — wiedziałem o tem od Reginalda, lecz nie z tak wzruszającymi szczegółami. Och, moja dobra, moja ukochana matka!

Nastąpiła chwila milczenia. Rysy więźnia zmieniły się nagle.

— Zapewnie potępia mnie — mówił dalej — że przez szalony postępek straciłem tyle szczęścia! Lecz jest nad rodzinę wyższy obowiązek, ojezyzna! Pragnąłem, o! i teraz jeszcze pragnę, oswobodzenia Irlandyi, wybicia się z pod Angielskiego jarzma. Nie mów mi, przyjacielu, że to jest marzeniem, niepodobnym do urzeczywistnienia! A Szwajcarya; Szwecya, Niderlandy, Stany Zjednoczone Ameryki, czyż one nie odzyskały praw swoich, i to w warunkach równie niekorzystnych jak nasze? Dla czegoż więc Irlandya nie miała by również być szczęśliwą, nie miała by mieć między synami Wilhelma Tella, Gustawa Wazę, Wilhelma Oranii, Washingtona? Mam niezachwianą wiarę w przyszłość i nie żał mi naszych poświęceń. Wydadzą one owoc w przyszłości.

Fitz-Gerald promieniał zapalem, czoło jego wieńczyła aureola męczenników.

— Powiedz mi co o mych biednych towarzyszach niedoli — mówił dalej ze smutkiem. — Bracia Sheares, O' Connor, Jakób.

Tankred wyznał, że nie wie nic o innych więźniach. Co do Jakóba, opowiedział zdarzenie, które miało miejsce pod Królewskim Dębem.

— Zaczne serce! — rzekł Edward z uniesieniem wdzięczności. — Oby kiedyś dzieci moje mogły mu się wypłacić choć w części! O! nie pierwszy to już raz poświęcał on swe życie, aby ocalić moje... Ach! i ona by to uczyniła gdyby mogła! ona... ukochana moja, moja żona najdroższa. Kiedyż mnie odwiedzi, i przyprowadzi dzieci, a i matkę, i Lucy... radbym je widzieć wszystkie...

— Spodziewam się, że może jutro — odrzekł wicehrabia. — Muszę przygotować je do zobaczenia cię milordzie. Biedne kobiety! Sir Reginald ukrywał przed nimi prawdę.

W pierwszej chwili więzień nie zrozumiał znaczenia tych słów. Lecz przypadkiem wychudzona twarz jego odbiła się w zwierciadle, zawieszonym na ścianie więziennej celi.

— Pojmuję — odezwał się z goryczą. — Nie spodziewają się ujrzeć mnie w takim stanie. Ale uspokój się wicehrabio. Komendant przysłał mi swego kamerdynera. Gdy się wystroję, znikną ślady wynędznienia — radość dokonywa cudów. Oto patrz, na samą myśl, że będą tu jutro, że ujrze je, na samą myśl, już szlachetniejsza krew, wydobywająca się z pod serca, napływa mi do głowy, nadając pozór zdrowia, wesołości!

Rzeczywiście Edward zmienił się nie tylko przez uśmiech na ustach, ale i przez rumieniec na licach, przez blask oczu.

— Co do pomieszkania — mówił dalej, oglądając się po swem więzieniu — lubo nie jest ono wykwiutnem i wesołem, to przecież nie ma nic ponurego. Należy mi przyznać, że obchodzono się ze mną bardzo względnie, co nie jest zwyczajem w Irlandzkich więzieniach stanu.

Izba więzienna była dość obszerna, wcale przyzwoicie umeblowana. Dwa okienka, umieszczone pod samym sufitem i zaopatrzone żelaznymi kratami, oświecały ją nienajgorzej. Podłogę osłaniał duży i piękny kobierzec.

— Wreszcie — dodał Fitz-Gerald — jest tu

doktor, mój współtowarzysz, który właśnie przygotowuje mi jakiś wzmacniający środek. Och, och, on sam musi zapewnić cię, że stan mego zdrowia nie jest znów bez nadziei. Jesteśmy sąsiadami. Otworzono te drzwi, które łączą nasze więzienia, aby mógł doglądać mnie i opatrywać ranę. Wi-nieniem mu życie. Poczekaj, wicehrabio!

Lord Edward zwrócił się ku drzwiom, które wskazał. Były zamknięte jedynie na klamkę — otworzył je, wołając:

— Doktorze! Doktorze Slovius!

Należało wołać dość głośno, aby otrzymać odpowiedź, która przytem była tylko pewnym rodzajem mruknięcia, wcale nie zachęcającego.

— Wejdzmy do samego przybytku — rzekł Edward do Tankreda.

Wicehrabiego już na wstępie czekała niemała niespodzianka.

I tu nie była to zwykła izba więźnia, ale raczej pracownia alchemika: Piecyki, szkielety, wypchane zwierzęta. Co do ksiąg i rękopismów znajdowały się one wszędzie i to w ogromnej liczbie.

Pomimo dziennego światła, paliła się lampa stojąca w pośród mnóstwa papierów na dużym stole, przy którym siedział Slovius Jumble, pisząc szybko.

— Przepraszam! — odezwał się, nawet nie podnosząc głowy. — Zatrzymajcie się panowie chwilę, póki nie skończę tej formuły. Ach, otóż mam ją już... Bardzo dobrze! Witajcie panowie! Raczcie wybaczyć mi...

Wreszcie oderwał się od swego zajęcia i przywitał obu gości.

Był to tak dziwny starzec, że można go było wziąć za jakąś karykaturę. Na bardzo małym kadłubie, chudym i nerwowym, znajdowała się olbrzymia głowa, z niezwykle wysokim czołem, z nosem, podobnym do dzioba ptaka i z oczyma błyszczącymi jak rozżarzone węgle.

Ubrany był w krótki, podarty kaftan jedwabny, poplamiony atramentem i różnymi kwasami. Pantalony uczonego męża sięgały zaledwie do kostek, pończochy zdawały się nieco brudne, na nogach miał tylko jeden pantofel.

Jednak ten dziwak nie miał w sobie nic rozśmieszającego. Przez znakomitą zręczność chirurgiczną, przez prawosć charakteru i rzadką bezinteresowność, pozyskał ogromną popularność w całej Irlandyi. Wszystkie stronnictwa ceniły w nim wielkiego uczonego i szczerego dobroczyncę ludzkości.

— Pozwól, sąsiedzie, abym przedstawił ci jednego z mych najlepszych przyjaciół... Wicehrabia Tankred de Gailfontaine, szlachcie francuzki.

Z początku doktor słuchał z uśmiechem, pełnym uprzejmości, lecz nagle wyraz jego twarzy zmienił się. Zdawało się, że ostatnie słowa Fitz-Geralda przeraziły go.

— Francuzki! — zawołał. — Więc Francuzi są tu? Zwycięzcy? I przynoszą nam wolność?

— Uspokój się, drogi doktorze — odparł Fitz-Gerald ze smutnym uśmiechem. — Nikt nie myśli otworzyć nam bram Newgate.

— Chwała Bogu! — rzekł Slovius Jumble. — Ach, jak-że mnie przestraszyłeś! — Poczem zwracając się do Tankreda, dodał uprzejmie: — Zechciej usiąść, panie wicehrabio. — Mówiąc to, wskazał ręką na stos ksiąg, ułożonych na podłodze, które wspierając się jedne na drugich, jako tako zachowywały równowagę.

(Dalszy ciąg nastąpi).